

BEZ
DEKRETU

NR2 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków
„SOLIDARNOŚCI”

NR 2

Kraków — Grudzień 1984

Spis treści:

1. Hubert Wroński - Polityka karna i wymiar sprawiedliwości w czterdziestolecu PRL	
2. Pchać ten wózek - rozmowa z facetem z "dziury"	11
3. Marian Zdziechowski - "Widmo przyszłości"	23
4. Jaroslav Seifert - Wiersze	26
5. Szczepan Kalinus - Życ razem ze swym bohaterem	28
6. Krzysztof Jerzewski - Anatomia "gospodraki"	32
7. Instrukcja i niektórych aspektach "teologii wyzwolenia"	41
8. Ignacy Bęben - Cenzura w "Tygodniku Powszechnym"	46
9. Dokumenty	49
10. Zbyszko Lechita - Smutne ale prawdziwe, czyli o "prawdziwkach"	52
11. Piotr Res - Z paryskiej perspektywy	57
12. Głos związkowca na temat Polskiej Reprezentacji Politycznej	62
13. Konrad Struga - Tumany i fetysze	64

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by BEZ DEKRETU

Szanowny Czytelniku !

Witamy Cię po raz drugi, z nadzieją, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

Redakcja

P.S. Następny numer ukaże się dopiero w przyszłym roku. Przyjm więc Drogi Czytelniku nasze życzenia Świąteczne i Noworoczne!

Polityka karna i wymiar sprawiedliwości w czterdziestoleciu PRL

A czy Sędzia, rzekł Major, Żółtą Księgę czytał?
Cóż to za Żółta Księga? pan Sędzie zapytał.
Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty.
A w niej pisze co słowo: stryczek, Sybir, km+V.
/A. Mickiewicz: Pan Tadeusz, ks. IX/

Bez prawa nie może obejść się współcześnie żadne społeczeństwo, to jasne. Bez norm wyznaczających wiążące wszystkich wzory zachowań oraz konsekwencje ich łamania nikt nie wiedziałby, co przyniesie mu jego działanie, co mu wolno, a co jest zakazane. Musiałoby to powodować niepewność, rodzącą chaos i dowolność poczynań, a w konsekwencji - dezorganizację życia społecznego. Istnienie dobrego systemu prawnego jest więc jednym z podstawowych warunków właściwego funkcjonowania społeczeństwa. Szczególną rolę w tym systemie odgrywa ten jego dział, którego zadaniem jest określanie zachowań uznawanych za wybitnie szkodliwe społecznie i przewidzianych za nie kar, czyli prawo karne. Daje ono możliwość bezpośredniej ingerencji w prawa obywatela, pozwala w określonych sytuacjach odebrać mu część albo i całość majątku, pozbawić go wolności lub ją ograniczyć, przysporzyć mu najrozmaitszych dolegliwości, a w przypadkach skrajnych nawet sięgnąć po jego życie. Prawo karne jest jednym z najpotężniejszych narzędzi sprawowania władzy i rządzenia społeczeństwem. Kształtowane i stosowane dla dobra tego społeczeństwa, przynosi mu spore korzyści. Może jednak zostać użyte jako środek ochrony nieaprobowanej przez większość społeczeństwa władzy, stać się narzędziem zastraszania i ucisku. W takim przypadku szkody wyrządzone jego stosowaniem mogą przeważać osiągane przy jego pomocy korzyści.

Rocznie skłaniają do podsumowań. Czterdzieści lat PRL stwarza okazję przyjrzenia się polityce karnej i wymiarowi sprawiedliwości w tym okresie. Zastanówmy się więc, czego dokonano w Polsce w minionym czterdziestoleciu w zakresie kształtowania i stosowania prawa karnego.

I

Punkt startu - o czym wiedzą tylko specjaliści - nie był zły. Polska międzywojenna zostawiła nam w spadku kodeks karny z r. 1932, uznawany za jedną z najlepszych i najnowocześniejszych ustaw karnych na świecie. Jego podstawowymi cechami były przejrzystość konstrukcji prawnych, jasność sformułowań oraz - jak na owe czasy - operowanie łagodnymi karami. Wystarczy powiedzieć, że w kk z 1932 r. tylko 3 przestępstwa były zagrożone karą śmierci, przy czym 2 z nich mogły być popełnione tylko w czasie wojny. Oczywiście, twórcy kk z 1932 r. nie mogli przewidzieć stanu, jaki wytworzył się w Polsce 13 lat później, nie mogli przewidzieć np. szabrownictwa czy kolaboracji z okupantem. Po wojnie kodeks ten wymagał zatem uzupełnień. Przyszło ono, pomijając drobne akty ustawodawcze, w postaci Dekretu z 13.06.1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa, zwanego małym kodeksem karnym. Dekret zawierał około cztery

razy mniej przepisów niż kk z 1932 r., za to przewidywał w 10 przypadkach karę śmierci, nie wspominając o drastycznym zaostrzeniu kary więzienia. Ten akt prawny stał się pierwszym, ale bardzo wymownym sygnałem, jakie środki będą w polityce karnej preferowane przez nową władzę. Co ważne, mały kodeks karny miał wyraźnie polityczne oblicze, kierując ostrze represji w dużym stopniu dla ochrony nowowprowadzonego porządku.

Na następne akty prawne o zasadniczym znaczeniu dla obrazu polityki karnej przyszło poczekać bez mała 7 lat. Dnia 4.03.1953 r. ukazały się dekrety o ochronie własności społecznej, które zaostrzyły sankcje za zabór mienia społecznego tak drastycznie, że w niektórych obstrzeżeń musiano się wycofać /Dekret z 23.12.1954 r./. Do dalszego zaostrzenia wymiaru kary /zwiększenie zagrożeń karą więzienia, nasilenie represji ekonomicznej/ powrócono jednak w ustawach z 21.01.1958 r. i 18.06 1959 r., nastawionych - jak głośił tytuł pierwszej z nich - na "wzmoczenie ochrony mienia społecznego". W wyniku tej działalności ustawodawczej doszło do niespotykanego natężenia represji za zabór mienia społecznego. Sądy zostały zalane sprawami o takie przestępstwa, co doprowadziło do przekazania spraw o przestępstwa drobnej kradzieży i niektórych innych do właściwości kolegiów d/s wykroczeń /Ustawa z 19.04.1966 r./. Proces przemiany niektórych przestępstw w wykroczenia zakończył się w 1971 r., kiedy to Kodeks Wykroczeń zamknął krąg czynów przekazanych do właściwości kolegiów, zaliczając doń także szereg niebezpiecznych zachowań w ruchu drogowym, np. prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym.

Trzeba podkreślić, że w latach 1945-1968 ukazało się w Polsce wiele ustaw karnych, regulujących kwestie dotąd nieuwzględnione w ustawodawstwie karnym bądź zmieniających dotychczasowe rozwiązania. Ta ożywiona działalność ustawodawcza wynikała z przekonania o niedostosowaniu prawa karnego /a zwłaszcza kk z 1932 r./ do nowych warunków społecznych i prowadziła do mniejszych lub większych, ale ciągłych zmian stanu prawnego. Niewątpliwie, niektóre z tych aktów prawnych były potrzebne, ale wiele było i takich, bez których można by się obyć. Zdarzały się i takie, które - wydawane w celu osiągnięcia doraźnych korzyści przez rządzącą ekipę, jak np. potrzeba odwrócenia uwagi społeczeństwa od spraw dla władzy kłopotliwych - wyrządziły polskiemu prawu karnemu trwałe szkody. Klasycznego przykładu dostarcza tu Ustawa z 22.05.1956 r. o zaostrzeniu odpowiedzialności karnej za chulihaństwo, której wejściu w życie towarzyszył olbrzymi propagandowy tumult, a która wprowadziła rozwiązania prawne do dziś powodujące wiele trudności w praktyce sądów oraz do niesprawiedliwych wyroków. Oceniając rzecz całosciowo, ta niezbyt przemysłana i pozbawiona linii przewodniej działalność ustawodawcza sprawiła, że prawo karne w coraz większym stopniu tworzyło plątaninę niedostatecznie ze sobą powiązanych i zharmonizowanych przepisów.

Wydawało się, że kształtowanie nowego oblicza prawa karnego dobiegło końca w r. 1969, kiedy to został uchwalony nowy kodeks karny. Uporządkował on prawo karne, zastępując kk z 1932 r. oraz wszystkie ważniejsze prawnokarne ustawy szczegółowe. Wbrew oficjalnemu uzasadnieniu projektu kk, przejął on charakterystyczne rysy ustawodawstwa karnego z lat 1945-1968, choć zmienił szereg szczegółowych rozwiązań. Istotnym novum kk z 1969 r. było wprowadzenie instytucji warunkowego umorzenia postępowania karnego, pozwalającej na niepociąganie do odpowiedzialności karnej osób dotąd niekaranych, które popełniły przestępstwo zagrożone karą nie wyższą niż 3 lata pozbawienia wolności. KK z 1969 r. wzbogacił też repertuar środków karnych pozostających do dyspozycji sądu. Wiele rozwiązań kk z 1969 r., który nie nawijał do tradycji kk z 1932 r., znalazło się - jeszcze w toku dyskusji nad jego projektem - pod obstrzałem krytyki, trwającej zresztą do

dzis i całkowicie nieskutecznej. Zarzucano, że nowy kk zdecydowanie a niepotrzebnie, zastrzył sankcje karne za wiele przestępstw, że preferuje politykę odstraszania, czyli tzw. prewencji generalnej, że zawiera nie mało przepisów niejasnych, pozwalających na bardzo "rozciągliwe" ich interpretowanie, a więc nie stwarzających wyraźnego obrazu działań zakazanych, że taki stan sprzyja dowolności w stosowaniu represji karnej. Ta słuszna krytyka nie uwzględniała tego, że kk z 1969 r. był podsumowaniem powojennych pociągnięć ustawodawczych w dziedzinie prawa karnego. Jak więc miały w nim dojść do głosu tendencje liberalizujące politykę karną, skoro w ustawodawstwie karnym PRL zaznaczały się tendencje wręcz przeciwne? Oczekiwanie nagłego zwrotu w tym względzie było zatem - delikatnie rzecz ujmując - bezpodstawne.

Możliwość takiego zwrotu zarysowała się natomiast w r. 1981. Projekt nowelizacji kk, przygotowany przez Komisję Rządową, przewidywał zdecydowane złagodzenie zagrożeń karnych, odchodził też od preferowania prewencji generalnej. Jeszcze dalej szedł projekt przygotowany pod auspicjami "Solidarności". Nadzieje na uzdrowienie polskiego prawa karnego przekreśliło wprowadzenie stanu wojennego. Nawet daleki od ideału projekt Komisji Rządowej został uznany za "zgniko-liberalny", a ustawodawstwo karne stanu wojennego doprowadziło represję do absurdu. Każde, nawet nieznaczne przeciwstawienie się władzy państwowej zostało opatrzone stygmatem zamachu na dobro państwa i mogło być karane jak zbrodnia, przepisy o internowaniu pozwoliły sankcjonować już nie czyny, lecz nawet poglądy nie znajdujące wyrazu w działaniu. Polityczny charakter prawa karnego PRL, służącego wprowadzeniu po wojnie systemowi władzy w drodze zastraszania obywateli, a nie ich interesom, ujawnił się z całą wyrazistością. Podana ostatnio ex officio informacja o możliwości wprowadzenia kary banicji, jeszcze wyraźniej to podkreśla. Koło, którego początek nakreśliło wprowadzenie małego kodeksu karnego, można uznać za zamknięte.

II

Przedstawiony zarys rozwoju prawa karnego w minionym czterdziestoleciu pomija nie tylko - co zrozumiąże - szczegóły nadające się do dyskusji wyłącznie w gronie specjalistów, ale również kwestie, do których trzeba powrócić. Jedną z nich jest zagadnienie tzw. rozwarstwienia przestępstw, które ma polegać na łagodnym traktowaniu sprawców przestępstw drobnych, a surowym - poważnych. Zasadę tę, której na pozór nic nie można zarzucić, zaczęły wcielać w życie wspomniane dekryty z 4.03.1953 r., pod jej szyldem przesunięto niektóre drobne przestępstwa do kategorii wykroczeń, ona wreszcie legła u podstaw wielu rozwiązań kk z 1969 r. Podkreślana przy niemal każdej okazji przez oficjalne czynniki wymiaru sprawiedliwości w PRL, urosła do podstawowej zasady polskiego prawa karnego, nadano jej wymiar podstawowego rysu polskiej polityki karnej.

Jeżeli jednak zastanowić się chwilę nad jej treścią, uderzyć musi jej oczywistość, żeby nie powiedzieć - banalność. Cóż bowiem bardziej zrozumiałego niż stwierdzenie, że za przewinienie mniejszej wagi karze się łagodniej, że im czyn poważniejszy, tym surowsza kara? Jest to podstawowa, znana od wieków, zasada sprawiedliwości i ogłaszanie jej za osiągnięcie komunistycznego prawa karnego polega na nieporozumieniu. Nie w tym zasadza się jednak zasadniczy problem; gdyby tak było, przedstawiony komentarz możnaby uznać za co najmniej tendencyjny. Sprawa wygląda o wiele gorzej.

Sedno problemu leży w tym, że polskie ujęcie "zasady rozwarstwienia" ma na względzie czyn widziany od strony jego skutków, a nie od strony stopnia zawinienia sprawcy. Wina może być nieznaczna - jeśli skutki czynu są poważniejsze, "zasada rozwarstwienia" powoduje za-

ostrzeżenia sankcji karnej, a nie jej złagodzenie. Jest to nieuchronna konsekwencja nastawienia podstawowych unormowań kk z 1969 r. na prewencję generalną /odstraszanie/, gdyż takie konstrukcje nie pozwalają na uwzględnienie - w każdym razie w dostatecznym stopniu - "zasady zawinienia", czyli miarkowania kary w zależności od stopnia winy sprawcy. Przy wielu przestępstwach, np. przestępstwa przeciwko mieniu społecznemu, przestępstwa w ruchu drogowym, związane wysokość kary z wysokością szkody, brak też normy wskazującej, że pierwszoplanową /bo i innych czynników często nie można pomijać/ dyrektywą wymiaru kary ma być stopień zawinienia. W rezultacie dochodzi nie tak rzadko do orzeczeń jawnie niesprawiedliwych, bowiem na wymiar kary mogą wpływać okoliczności czynu od sprawy zupełnie niezależne.

Dochodzi do tego bardzo ważna okoliczność. Otóż, mówiąc o "zasadzie rozwarstwienia" ma się w Polsce na uwadze sytuacje ekstremalne, tj. przestępczość drobną, czy nawet "bagatelną", oraz poważną, milczy się zaś na temat przestępczości "średniej". Dodajmy gwoli sprawiedliwości, że stworzenie jasnych i precyzyjnych kryteriów odróżniania takich rodzajów przestępczości jest niezwykle trudne, jeżeli w ogóle możliwe. Przy stałym podkreślaniu potrzeby surowej represji karnej i stałym nacisku na sądy w kierunku orzekania surowych kar, a jednocześnie przy braku wbudowanych w ustawę karną zabezpieczeń przed nadmiernie surowym wymiarem kary, doszło do zjawiska, które musiało nastąpić: do poważnego zaostrożenia wymiaru kary za przestępstwa "średniej" rangi. Taki wynik jest zresztą nieuchronny i z innych względów: sędzia, zmuszony przez ustawę do orzekania bardzo surowych kar za przestępstwa poważne, nie będzie orzekał kar łagodnych za przestępstwa "średnie", bowiem obraz wydawanych przez niego wyroków byłby wówczas niespójny, a nawet wewnątrznie sprzeczny. Działa tu też czynnik znieczulenia na wymierzanie kar drakońskich. Tak więc "śrubowanie" kar za przestępstwa poważne, winduje wymiar kary za wszystkie przestępstwa na bardzo wysoki poziom, również i za przestępstwa "bagatelne".

Jakież są więc rezultaty owego "rozwarstwienia" przestępczości? Można mówić o dwóch. Pierwszy z nich to ten, że wymiar kary w Polsce cechuje się surowością niespotykaną współcześnie wśród krajów pretendujących do miana cywilizowanych. W obszernym studium na temat puniwności systemów karnych J. Jasiński wykazał, że jaki by nie przyjął wskaźnik surowości systemu karania, zawsze Polska uplasuje się pod tym względem w ścisłej czołówce światowej, jeśli nie na pierwszym miejscu. Dość powiedzieć, że w Polsce orzeka się kilka razy więcej kar pozbawienia wolności niż w innych /wyjątek - Austria/ krajach europejskich /bez ZSRR, który nie publikuje takich danych/, przy czym kary krótkoterminowe /do 6 miesięcy/ to w Polsce nie więcej niż 5-7% ogółu kar pozbawienia wolności, a w krajach Europy zachodniej - 70-80%. Uwzględniając liczbę osób pozbawionych wolności na 100.000 mieszkańców uzyskuje się wyniki następujące: Polska: obecnie ponad 200, w latach siedemdziesiątych ponad 300; większość krajów Europy - 50-60, nieliczne przekraczają 100. Drugim rezultatem "rozwarstwienia" przestępczości w polskim wydaniu jest przywiązywanie decydującej wagi do skutków czynu, co przy pomijaniu stopnia zawinienia sprawcy musi prowadzić do nietrafnych rozwiązań prawnych i niesprawiedliwych orzeczeń.

Podsumowując te uwagi stwierdzmy zatem, że "zasada rozwarstwienia" jest bardziej dymną zasłoną dla drakońskiej represji, niż narzędziem sprowadzania wymiaru kary do społecznie uzasadnionych rozmiarów. Dodajmy też, że uwagi powyższe nie są wycelowane na okres stanu wojennego; w takim przypadku obraz byłby jeszcze gorszy.

O obliczu polityki karnej decyduje nie tylko treść przepisów prawnych, ale również - a może nawet przede wszystkim - praktyka ich stosowania. Nie chodzi przy tym tylko o praktykę sądową, choć sądom przypada tu rola szczególna, lecz również o praktykę tzw. organów ścigania, czyli MO i prokuratury. Władze PRL zadbały więc i o to, by zapewnić sobie należyty wpływ na praktykę wymiaru sprawiedliwości.

Z prokuratą i MO nigdy te władze poważniejszych kłopotów nie miały; jako instytucje kierowane centralnie, zorganizowane na zasadzie hierarchicznego podporządkowania, były wygodnym narzędziem w ręku władz. Choć w latach 1956-1970 prokuratura uzyskała pewien stopień samodzielności, obecnie jest organem "fasadowym", swoistym parawanem dla działalności MO, która - praktycznie rzecz ujmując - ma decydujący wpływ na przebieg śledztwa i dochodzeń, choć z przepisów kodeksu postępowania karnego wynika coś wręcz przeciwnego. Ten, kto decyduje o działalności MO, może zatem bez większych trudności sterować dopływem spraw do sądów, które w sprawach karnych działają wszak tylko wówczas, gdy oskarżyciel /z reguły - prokurator/ wniesie akt oskarżenia. Wystarczy aparat ścigania "nastawić na określoną kategorię przestępstw, a do sądu musi wpłynąć zwiększona liczba spraw o te przestępstwa. Obserwowana nieraz "aktywność" ścigania wybranych kategorii przestępstw, np. gwałty, aferowe zagarnięcia mienia społecznego, pozwala, przy odpowiednim zaangażowaniu aparatu propagandy, wywoływać wrażenie szczególnego zagrożenia określonym rodzajem przestępczości, w celu manipulowania nastrojami społecznymi. "Dyspozycyjność" organów ścigania stwarza też możliwość nie ścigania tych przestępców, których ścigać się nie chce, czemu poświęć osobny komentarz.

O wiele trudniej "sterować" sądami, gdyż są one - zgodnie z literą prawa - w zakresie orzekania niezależne, czyli przy podejmowaniu decyzji /wyroków, postanowień/ mają kierować się tylko przepisami prawa oraz własnym sumieniem i nie wolno wywierać na nie żadnych nacisków. Problemu manipulowania sądami władze PRL nie rozwiązały do końca, o czym świadczy ocena wyrażona przez nie po roku 1982: "sądy nie zdały politycznego egzaminu". Tym niemniej wiele zrobiono, by sądy utrzymać "w stanie dyspozycyjności". W latach 1948-1950 wprowadzono do sądownictwa falangę ludzi po 3-6 miesięcznym przeszkoleniu, "politycznie sprawdzonych", za to nie mających pojęcia ani o prawie, ani o roli sądu w społeczeństwie. Ludzie ci, w zdecydowanej większości całkowicie "dyspozycyjni", objęli funkcje sędziów, prezesów sądów i przewodniczących wydziałów. Wprawdzie do początku lat siedemdziesiątych niemal wszyscy oni odeszli z sądów, ale pozostawili po sobie kadre "wychowanków", a także atmosferę i obyczaje ciągnące do dziś na polskim wymiarze sprawiedliwości. Trzeba jednak podkreślić, że zarówno resztki starej kadry sędziowskiej, jak i spora część dopływających do sądownictwa po r. 1956 absolwentów wydziałów prawa, zdołała utrzymać przynajmniej do minimum niezależności sędziowskiej, niezbędne do wypełniania przez sądy ich społecznej roli. Zdawać sobie bowiem należy sprawę z tego, że na sądy wywierana jest nieustanna presja w kierunku zaostrzania wymiaru kary oraz przyspieszania i "upraszczania" postępowania sądowego. Te ostatnie naciski ukrywane są najczęściej pod szyldem "zmniejszania kosztów wymiaru sprawiedliwości", choć w istocie daje to redukcję uprawnień oskarżonego oraz zamienia orzekanie o winie i karze w pogoń za jak największą liczbą "załatwionych" spraw. Kanałem pozwalającym wywierać ten nacisk, jest przede wszystkim pion administracyjny sądownictwa, od Ministerstwa Sprawiedliwości poczynając, a na prezesach sądów i przewodniczących wydziałów kończąc. Ta droga przekazuje się sędziom liczne wytyczne i wskazówki,

dokonuje się "przepierki" opornych na naradach, zebraniach i kolegiach. Spora rolę w tym dziele odgrywa też Sąd Najwyższy, choć trzeba przyznać, że dopiero "czystki" w r. 1977 i 1982 pozwoliły obrócić tę naczelną magistraturę sądową w organ niemal do końca dyspozycyjny. Jeśli w tych warunkach wcale nie mała część sędziów walczy o zachowanie godności i autorytetu sądów, to należy im się za to wdzięczność społeczeństwa, nawet jeżeli ich wysiłek nie może w pełni zapobiec negatywnym zjawiskom w wymiarze sprawiedliwości w Polsce. To, co dzieje się w sądach i organach ścigania, wyjaśnia natomiast, dlaczego możliwe jest realizowanie aż tak represyjnej polityki karnej.

IV

W uwagach dających zarys historii ustawodawstwa karnego lat 1944-1984 pominięto Dekret z 31.08.1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy oraz zdrajców Narodu Polskiego. Obecnie konieczna jest wzmianka na jego temat. Dekret ten w art. 1 i 2 przewidywał bardzo surowe kary /kara śmierci, wieloletnie więzienie/ dla osób, które "idąc na rękę władzy państwa niemieckiego lub z nim sprzymierzonego" współdziałały w wyniszczaniu ludności cywilnej, osób wojskowych lub jeńców wojennych, lub działały na szkodę takich osób, Państwa Polskiego lub polskiej osoby prawnej. Na mocy tych przepisów poniosło zasłużoną karę wielu Niemców i współpracujących z nimi Polaków. Zauważyć jednak trzeba, że od chwili podpisania w r. 1939 paktu między Niemcami a Rosją do początku 1941 r. "państwem sprzymierzonym z Niemcami" był niewątpliwie ZSRR. Jeśli zaś tak, to Polacy współpracujący w tym okresie z rosyjskimi władzami okupacyjnymi, np. przy wywoźce Polaków na Syberię lub do Kazachstanu, powinni również ponosić odpowiedzialność na podstawie przepisów Dekretu. Powinni, lecz nigdy jej nie ponieśli, a poczucie bezkarności było tak silne, że np. Putrament w swoich ogłoszonych drukiem pamiętnikach otwarcie się do takiej współpracy przyznawał.

Od początku zatem przejścia władzy przez komunistów w Polsce przepisy karne były stosowane w sposób "selektywny" - pociąga się do odpowiedzialności tego, kogo się chce do odpowiedzialności pociągnąć, nie przejmując się zbyttno zapisem ustawowym. Stan ten utrzymuje się nadal. Każdy, kto ma jakieś takie rozeznanie w działalności wymiaru sprawiedliwości w Polsce, dobrze wie, że postawienie przed sądem działacza partyjnego nie wchodzi w rachubę tak długo, jak długo prokuratura nie uzyska na to akceptacji odpowiedniej instancji partyjnej. To samo odnosi się do osób zajmujących poważniejsze stanowiska w administracji państwowej lub gospodarczej, o ile są partyjne, a są to niemal zawsze członkowie PZPR. O tym, że prawo nie daje instancjom partyjnym żadnych uprawnień do ingerowania w tok wymiaru sprawiedliwości, nie trzeba nawet wspominać. Tak jednak się dzieje i jest to bez wątpienia charakterystyczny rys wymiaru sprawiedliwości w PRL. Stąd też można spotkać działaczy partyjnych oraz "zauszników" władz /najczęściej powiązanych z SB/, którzy niemal oficjalnie trudnią się pobieraniem łapówek za najrozmaitsze "usługi", a są "nie do ruszenia". Bezkarne wyłudzenia mienia społecznego przybierają zaś w tej warstwie wręcz apokaliptyczne rozmiary, co wyraziście ujawnione zostało w czasach "Solidarności". Polityka karna i wymiar sprawiedliwości w Polsce mają więc niejednakowe oblicze dla warstwy rządzącej oraz jej adherentów oraz dla tzw. zwykłych obywateli. Powtórzmy raz jeszcze: prawo karne w Polsce nie służy przede wszystkim ochronie obywateli, lecz przede wszystkim interesom ludzi sprawujących władzę. Jego ostrze nie może się więc przeciw nim kierować.

Podkreślanie w tym szkicu nadmiernej surowości represji karnej w Polsce narzuca potrzebę wyjaśnienia, dlaczego zjawisko to uważać trzeba za szkodliwe. Rzecz nie wymaga komentarza, gdy represja, i to nie tylko surowa, ale wszelka, jest używana w celu zduszenia swobód obywatelskich i zastraszenia społeczeństwa. Nieprzejrzystość pojawia się, gdy chodzi o tzw. przestępczość pospolitą, która budzi obawy wielu ludzi i prowokuje wołania o jej energiczne zwalczanie. Propaganda w PRL powołuje się nieustannie na te głosy, wskazując na "opinię publiczną" domagającą się jakoby surowego karania przestępców. Nie jest oczywiście jasne, w jakim stopniu propaganda, podkreślając poważne zagrożenie ze strony takiej czy innej kategorii przestępstw, sama te głosy wywołuje. Ważniejsze jednak jest zastanowienie się nad tym, co one oznaczają.

Przede wszystkim nie wiadomo, jakie kręgi i warstwy społeczne są nosicielami opinii o potrzebie surowego karania przestępców. Enigmatyczność powoływania się na "opinię publiczną" nie pozwala wykluczyć, że głosi je w pierwszym rzędzie warstwa sprawująca władzę, a nie inne kręgi społeczne. Ustalić by też warto, co rozumie się pod niejednoznacznym określeniem "surowe" karanie. W badaniach prowadzonych w Polsce okazywało się, że respondenci nieprawicy proponowali za takie same przestępstwa kary znacznie łagodniejsze niż sędziowie, dostosowujący swoje propozycje do ustawowych zagrożeń karnych. Wielce prawdopodobne jest więc, że przeciętny obywatel, nie orientujący się w rzeczowym natężeniu represji karnej, nawet jeśli głosi pogląd o potrzebie "surowości karania", zasiadając za stołem sędziowskim karałby łagodniej niż czyni to polski wymiar sprawiedliwości. Znane tendencje ławników do obniżania wymiaru kary przypuszczalnie to umacniają. Dodajmy, że łatwiej jest wołać o drakońskie kary dla abstrakcyjnego przestępcy, a znacznie trudniej wymierzać je patrząc w twarz człowieka siedzącego na ławie oskarżonych. Konkludując - wiele wskazuje na to, że powoływanie się na opinię publiczną dla uzasadnienia rygorystyki karania, jest chwytem propagandowym pozbawionym realnego podkładu.

Wracając do postawionego na wstępie pytania zaznaczamy, że przeciw rozdymaniu represji karnej przemawiają nie tylko względy humanitarne, lecz również czysto praktyczne. W kręgu kultury europejskiej uznaje się ingerencję prawno-karną w prawa obywateli za ultima ratio, za krok dozwolony tylko wtedy, gdy inny sposób go uniknąć, przy czym niedopuszczalne jest karanie nadmierne. Pogląd ten oparty jest na przekonaniu, że odpłacanie dolegliwością za zło jest również złem /aspekt moralny/, ale co ważniejsze, jest zabiegiem nieskutecznym i rodzącym poważne problemy społeczne./aspekt pragmatyczny/. Udowodniono, że represja karna jest bardzo niedoskonałym ~~oraz~~ ~~zwalczaniem~~ ~~przestępczości~~, niezdolnym do skutecznego jej ograniczenia. Przyczyną tego jest przede wszystkim skierowanie represji karnej przeciwko objawom a nie przyczynom zła. Poprzestanie na niej przypominałoby postępowanie lekarza, który nie leczy przyczyny owrzodzenia, lecz ogranicza się do dezynfekowania zropiałych miejsc. Zastanawiając się nad licznymi przypadkami powstawania w zakładach pracy/nierzadko w tych samych/ grup kradnących mienie społeczne w miejsce ukaranych wieloletnim więzieniem, można sobie w pełni zdać sprawę z trafności tej analogii. W dodatku, jeżeli w karaniu preferuje się, jak w Polsce, karę pozbawienia wolności, pojawiają się nieuchronnie trudności związane z wyrwaniem skazanego z jego zwykłego trybu życia i adaptacją do tego życia po zwolnieniu z zakładu karnego, z utratą na pewien czas /często wartościowego/ pracownika oraz z jego rodziną, dla której odebranie głównego żywiciela przesądza niemal zawsze o pojawie-

niu się poważnych trudności materialnych i społecznych /stygmatyzacja/. W konsekwencji, skazanie na karę więzienia często nie rozwiązuje problemu, lecz dopiero go rodzi. Oczywiście, nie zawsze jest tak i z kary więzienia zrezygnować nie można, ale trzeba posługiwać się nią bardzo ostrożnie i dawkować umiarkowanie. Już rygoryzm w tym zakresie jest nieopłacalny, a nadmierne stosowanie kary pozbawienia wolności, to nieuchronne mnożenie poważnych strat społecznych.

Szafowanie represją karną nie liczy się też ze zjawiskami ze sfery psychologii społecznej, wpływającymi na zmniejszenie skuteczności jej oddziaływania na społeczeństwo. W zbiorowości, w której przebywa coraz więcej skazanych, skazanie zaczyna uchodzić za rzecz zwykłą, a kara w coraz mniejszym stopniu wyróżnia skazanego w sposób negatywny, staje się czymś codziennym. Aby kara nadal "czyniła wrażenie", trzeba zaostrzyć jej wymiar, lecz i taka eskalacja prowadzi do nikąd. Po pewnym czasie zaostrzony wymiar kary uznany zostanie za "zwykły", co wywoła potrzebę orzekania kar jeszcze surowszych. Upłynie znów trochę wody, społeczeństwo znów przyzwyczai się do surowych orzeczeń i ... wkracza się w błędne koło, z którego trudno się wydobyć.

Możliwość orzekania kary pozbawienia wolności często i w większym wymiarze /na dłuższy czas/ natrafia na jeszcze jeden próg: pojemność więzień. Przy takiej polityce karania, więzienia, w których zmieścić można tylko określoną liczbę więźniów, zaczynają "pękać w szwach". Nie sposób zaś budować wciąż nowe kryminaly, gdyż wtedy efekt przyzwyczajenia do represji wystąpi jeszcze szybciej, a co więcej - finansowe i propagandowe koszty wystawiania i utrzymywania więzień są bardzo wysokie. Stąd też, po pewnym czasie, więzienia nie są w stanie przyjmować nowych skazanych i trzeba je opróżnić. Metodą pozwalającą wypuścić skazanych na wolność jest amnestia, ale jeśli w ślad za nią nie idzie złagodzenie polityki karania, całą operację trzeba będzie powtarzać. Przejrzmy do konkretów. W Polsce w latach 1945-1984 ogłoszono 9 aktów amnestyjnych - czyli średnio co 4 i pół roku następowała amnestia. Przynajmniej co druga z nich była wywołana znacznym przekroczeniem "granicy pojemności" polskich więzień. Rzecz jasna, polityka naprzemian napełniania i opróżniania więzień nie chroni przed ujemnymi skutkami nadmiernej represji karnej, a trudno uznać ją za przemyślaną i konsekwentną. Nie bez znaczenia jest i to, że w zatłoczonych więzieniach nie da się stosować nowoczesnych metod resocjalizacji więźniów. Zakłady karne stają się w takich warunkach szkołą demoralizacji, co zwiększa negatywne skutki szafowania karą pozbawienia wolności.

Jedynym wyjściem jest więc złagodzenie represji karnej przez położenie nacisku na kary nie polegające na pozbawieniu wolności, a traktowanie tej ostatniej jako wyjątkowej. Trzeba przyznać, że w kk z r. 1969 zamieszczono instytucje prawne, pozwalające na stosowanie kar wolnościowych /ograniczenie wolności, grzywna, orzeczenie wyłączenie kary dodatkowej/, z czym łączono nadzieje na złagodzenie polityki karania. Zarówno jednak nastawienie kk na prewencję generalną jak i wywierany na sądy nacisk na zaostrzanie wymiaru kary spowodowały, że nadzieje te okazały się - a właściwie były od początku - płonne. Kara pozbawienia wolności pozostała głównym środkiem represji karnej w Polsce, a nasilana od końca lat pięćdziesiątych represja ekonomiczna tylko pogarsza sytuację. Kara pieniężna bowiem powinna zastępować karę pozbawienia wolności, a nie pełnić funkcji dodatkowego zaostrzenia represji.

*

Powyższy szkic nie pretenduje do wyczerpania, czy nawet zaznaczenia, wszystkich zagadnień związanych z polityką karną oraz wymiarem sprawiedliwości w czterdziestolecie PRL. Ukazać chciano kwestie,

zdaniem autora, najważniejsze, pomijając zagadnienia tak istotne jak znaczenie przepisów proceduralnych, stosowanie tymczasowego aresztowania, organizacja wymiaru sprawiedliwości i wiele innych. Uważam jednak, że winien jestem Czytelnikowi jeszcze jedną uwagę.

Ponad dwieście lat temu Cesare Beccaria napisał: "Chcecie zapobiegać przestępstwom? Postarajcie się o to, żeby prawa były jasne, proste, żeby cała siła narodu była zespolona ku ich obronie i żeby ani jedna część tej siły nie była skierowana na ich unicestwienie". Nic dodać tu, nic ująć, chyba jedynie to, że władza traktująca prawo jako narzędzie obrony własnych interesów nie jest zdolna do takiego zjednoczenia narodu. Władza nie ciesząca się poparciem społeczeństwa skazana jest na nasilanie represji, bo jedyne co jej pozostaje, to wymuszać posłuch prawom dla niej korzystnym. Ale prędzej czy później ta droga zaprowadzi ją w ślepe uliczki.

Hubert Wroński

Pchać ten wózek . . .

Rozmowa z facetem z „dziury”

- Zaczniemy od początku - jak to się stało, że zacząłeś się ukrywać?

- Drukowaliśmy właśnie gazetkę. Warunki mieliśmy znakomite, wszystko było wyciszzone materacami i innymi podobnymi buzerami. Tam mieliśmy offset, który trzeba było naprawić. Nikt nie mógł sobie z tym poradzić i suma sumarum stanęło na tym, że trzeba ściągnąć pewnego faceta, bo on jest jedynym, który może go uruchomić. Tak się też stało. Przywieźliśmy go "na klatkę" z wszystkimi szykanami bezpieczeństwa, ale widać wychodząc zapamiętał miejsce. Nie było to trudne, bo naprzeciwko był ogród zoologiczny. Niczego nie podejrzewaliśmy, bo facet był pewny. Kończyliśmy druk numeru i nagle słyszymy dzwonek do drzwi. Jeden z kolegów, mimo moich usilnych nalegań, poszedł otworzyć. Przyszedł facet, rzekomo z gazowni.

- Znaczy filmowo-okupacyjny numer?

- Oczywiście. Ten z gazowni nie sprawdzał, jak się okazało, żadnego zegara i wyszedł. Kiedy kolega nas o tym poinformował, mówię: stary, nie chcę być złym prorokiem, aleśmy chyba dupę pomoczyli. Widzę, że wszyscy się trzęsą i próbują w związku z tym zbagatelizować sprawę. Czuję jednak, że jest źle. Ale też sam siebie pocieszam, że być może jednak nie. W międzyczasie jeden z nas wychodzi do umówionego kolportera, żeby poinformować go o opóźnieniu numeru. Nie minęło 10 minut i jest kolejny dzwonek do drzwi. Ten, który otwierał poprzednio, teraz nie chce otwierać. Mówię więc, że teraz musi, bo wyważą drzwi. Wychodzi więc, a goście informują go, że są "ubecja" i proszą go o przyjście do mieszkania obok z dokumentami, jako świadka dokonującej się tam rzekomej rewizji. Nasz kolega wraca więc po dokumenty, nie zamykając drzwi wejściowych i "ubecy" oczywiście wchodzi za nim. Zdażyłem jeszcze tylko zgasić światło w

pokoju i zamknąć drzwi łączące pokój, w którym byliśmy, z przedpokojem. Kolega zapewnia ich, że poza nim nie ma w mieszkaniu nikogo, ale oni, mimo jego zapewnień, dobijają się do pokoju, w którym jesteśmy. Otwieram więc, a oni od razu: dowody osobiste... Na łóżku leży połowa nakładu. Jeden ubek rzucił się do tego i gwałtownie zaczął szukać offsetu. Myślę sobie: nic tutaj po mnie, trzeba wiać. Przypomniałem sobie, bo niedawno o tym pisałem, jak związał Romaszewski i postanowiłem wzór powielić. Powiedziałem więc, że dokumenty mam w przedpokoju. Z przedpokoju wyskoczyłem za drzwi i na schody. Schodzę na dół i myślę: jeżeli zejść jeszcze dwa stopnie, to spaceram. Nikt za mną nie wybiega. Przed bramą stoi jakiś typ. Wychodzę ze szmatą w rękach, bo wycierałem jej brudne od farby. Nie wiem dlaczego nie zwrócił na mnie uwagi. Kiedy dochodziłem już do rogu, słyszę: stać, milicja! Odruchowo pokazałem mu wajchę. To mnie jakos rozładowało, bo z emocji zaschło mi zupełnie w gardle, śliny nie mogłem przedknać. Wpadłem do bramy, a tam zamknięte wyjście. Szybko więc do następnej. Przede mną świeży tynk i trzymetrowy mur. Janosik nie jestem - myślę - i tego nie przeskoczę. Patrzę - otwarte drzwi do piwnicy i ktoś tam coś robi. Wpadam więc i pytam: kto tam jest i gdzie gasi się światło? Był jakiś może 10-letni chłopak. Musiałem strasznie wyglądać, bo mały jak stanął z siekierą, tak stał. Nic nie powiedział. Szybko wykręciłem żarówkę i bredziłem coś o tym, żeby był cicho bo bawimy się w chowanego. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Trwało to może 10 minut. Przez cały czas mam świadomość, że o piątą mam spotkanie z resztą towarzystwa. Jeśli go nie odwołam - wpadną wszyscy. Być może był to ten bodziec, który zadcędowno ucieczce. Poprosiłem małego, żeby wyszedł i sprawdził, czy kręci się na ulicy ktoś, kto wygląda na takiego, który szuka. Nie było nikogo. Wyszedłem więc i poszedłem do znajomych, którzy dość blisko mieszkali. Udrapowałem się na tyle, na ile to było możliwe. Spotkanie udało mi się odwołać. Tak więc ta wpadka nie pociągnęła za sobą absolutnie nic. Co więcej, ludzie tak się sprężyli, nawet ci, którzy odmawiali mi pomocy, że wydali potem kilka numerów. Następny numer wyszedł przecież dwa dni po wpadce.

- Następną mieliście dość szybko, bo w dwa miesiące później.

- To już było po wpadce takiego faceta. Dostaliśmy cynk, że on sypie. Był to człowiek wciągnięty do roboty przez ludzi robiących biuletyny. On tam drukował. Wierzyli mu po prostu. Nie wiem, jak zdobył to zaufanie, ale je miał. U mnie w mieszkaniu był może trzy razy. Dawałem mu ramkę i pokazywałem jak to się robi. Mnie się on nie podobał i dlatego nie utrzymywałem tego kontaktu. Siedział w A, a później w B. Stamtąd był ubecki przeciek, że sypie. Natychmiast pojechałem do tej klatki, gdzie "dzieci" drukowały, żeby ich uprzedzić, bo facet znał ten lokal. To był wtorek, a oni wpadli w czwartek. Wręcz im wszystko wyrzuciłem i dałem adres innej klatki. Mieli się przenieść w ciągu najbliższych czterech godzin. Zgodzili się. Cóż się okazało? W czwartek rano przychodzi do mnie człowiek, który mi naświetlał sito. Pytam go, czy się przenieśli. Powiedział, że tak, że wszystko robią w nowej klatce. Skłamał. Właśnie w czwartek rano ubecja tam wpadła i złapała ich in flagranti. Co więcej? Mając taki cynk jeszcze się tam umówili na wrzut papieru i na wrzut drugiego pisma. Dzięki temu ubecja wyłapuje osób przy konkretnej robocie. Być może to poczucie winy, bo przecież byli uprzedzeni, spowodowało, że wszyscy znakomicie zachowywali się w śledztwie. Nikt niczego ani nikogo nie sypnął. Oczywiście robota po tej wpadce była potworna, bo wszystko trzeba było powymieniać. Tam też wpadł kolportaż, m.in. cały numer "gazety", którego nie dało się odtworzyć. Po raz pierwszy napisałem bez kalki. Wpadka była duża, ale wyobraź so-

bie, że na drugi dzień wszystko wyszło i "X" i "Y" i nowa "gazetka".

- Jesteś jednoosobową w zasadzie redakcją "gazetki". Dziennikarskiego przygotowania nie masz. Czy nie wydaje ci się, że dobrze byłoby mieć jakiegoś drugiego fachowca do pomocy? Czasami mam wrażenie, że pewne informacje giną. Nie jest też najlepiej z aktualnym komentarzem politycznym.

- Cały czas walczę o to, żeby się ktoś zajął tymi wstępnikami oraz pilnowaniem stałych rubryk. Pamiętaj, że praca redakcyjna polega w moim przypadku na tym, że bez przerwy jesteś "w ogniu walki". Przede wszystkim walka o to, żeby był papier, żeby ktoś to zrobił, tzn. pozbiierał, napisał, przeredagował, ułożył, nakleił, wydrukował i wprowadził w kolportaż. Najczęściej sam robię całą robotę redakcyjną, a na wszystko jest góra tydzień czasu. Teraz, kiedy "gazetka" wychodzi regularnie, bywało tak, że kończąc jeden numer od razu siadałem do następnego. Siadałem, pisałem i dawałem do drukowania... Czasami miałem dość. Zwracałem się do jednej, drugiej, piątej osoby, żeby ktoś wziął ten dział publicystyczny... Resztę zostawiam sobie, bo informatorzy nie chcą z nikim innym współpracować. Mają do mnie zaufanie, jak oświadczyli, i o nikim innym nie może być mowy. Absolutnie.

- Czy to był główny powód tego, iż postanowiłeś nie skorzystać z dobrodziejstwa amnestii?

- Tak, to był główny powód. Przesondowałem opinię ludzi puszczając kaczkę, że może wyjdę.

- Miałeś podobno jakieś rozmowy z adwokatem?

- Nie, kompletnie z nikim takim nie rozmawiałem.

- Uciekając wtedy z miejsca wpadki ratowałeś się po prostu. Nie była to przecież decyzja pójścia w podziemie. Po jakim czasie się zrodziła?

- Bardzo szybko. Tego samego dnia spotkałem się z tymi chłopakami, których uprzedziłem odnośnie spotkania o piątej. Oni mnie zapytali, czy decyduję się pozostać w dziurze, bo jeśli tak, mogą mnie schować na czas, jaki będzie potrzebny. Wtedy liczyłem się z tym, że to może potrwać około roku.

- A teraz jak sądzisz?

- Na pewno potrwa to dłużej. Amnestia mnie nie zainteresowała w ogóle. Staralem się w "gazetce" pokazywać jaki przebieg miały poprzednie akty łaski władz PRL. Mało na ten temat pisano w bibule. Ja niestety nie mam dostępu do archiwów i też nie napisałem wyczerpująco.

- Jak długo jeden człowiek może ciągnąć tak dużą robotę?

- Bez przerwy się nad tym zastanawiam.

- Żyjesz w warunkach nienormalnych. Pytanie, czy w tym kraju w ogóle można mieć normalne warunki. Ale ty żyjesz w szczególnie nienormalnych. Zdecydowałeś się na to świadomie. Jak widzisz swoją dalszą egzystencję? Mówisz, że ludzie współpracujący z tobą mają tylko do ciebie zaufanie, że tylko z tobą i z nikim innym. Jesteś więc w ich opinii niezastąpiony. Wierzę w to. Nie wydaje ci się jednak, że cmentarze pełne są ludzi niezastąpionych?

- Podejrzewam, że jest to mit, który tworzą wokół mnie, bo nie ma ludzi niezastąpionych. Doskonale o tym wiem. Oni po prostu dbają

o moją psychikę i stąd stale mi schlebiają, że beze mnie to w ogóle nic by nie było.

- Mają ku temu wszak jakieś podstawy?

- Tak, bo jeżeli czegoś nie ma, to ja zawsze, nawet w ostatniej chwili to zrobię.

- Przykłady?

- Była wpadka?

- Była!

- A numer "gazetki" natychmiast wyszedł. Wiedzą, że wiem gdzie jest inny powielacz. Wchodzę tam, siadam przy nich, drukujemy i natychmiast to idzie.

- Siedzisz w dziurze rok, a w zasadzie wiele osób nie jest zorientowanych w tym, dlaczego. Nie wydaje ci się, że trzeba to było wyjawiać opinii publicznej? Porównaj się np. ze Zbyszkiem Bujakiem.

- On, wiadomo, ma zadanie siedzieć.

- Ale siedzieć anonimowo i harować jak wół, to jest rola dla świętego, a nie normalnego człowieka.

- Szczerze ci powiem jak to było. Po naszej wpadce, kiedy szedłem do dziury, wszystko się rozsypało. Celem mojego "siedzenia" było więc pozbieranie wszystkiego z powrotem. Dałem sobie trzymiesięczny termin. Liczyłem na to, że teraz będę miał bliższy kontakt z kierownictwem regionu i będzie mi łatwiej to zrobić. Kiedy wszystko zaczęło już znakomicie hulać dostałem drugi strzał - następna wpadka. Bardzo to był celny strzał, bo kładł wszystko. I znowu odbudowywanie. Zostałem bez ludzi, do których miałem absolutne zaufanie i którzy harowali od rana do nocy. Robili wszystko. Wzięli na siebie część tych obowiązków, które ja miałem poprzednio i wywiązywali się z nich bardzo dobrze. I dygresja: nie przyjmowaliśmy wpłat do "gazetki" przez dobre pół roku. Ludziom nie płaciłem nawet grosza do listopada 82 roku. Nikt nic nie dostał. Wyjeżdżali własną benzynę etc. Nie było żadnych zwrotów kosztów. Zresztą pieniędzy non stop nie było. Wyobrażasz sobie, co to znaczy znaleźć takich ludzi do roboty? Taki miałem niestety wyrobiony ideał działacza. Jeśli ktoś mówił, że owszem popracuje, ale za pieniądze, to mówiłem: spieprzaj stary, nie ma dyskusji. Jeśli ktoś chciał za ryzę 500 zł mówiłem: spieprzaj złodzieju. Tak to wyglądało. Mnóstwo tych potencjalnych, którzy za pieniądze by działali, straciłem. Niestety nie wiedziałem, że tak też można działać.

- Nie pomyślałeś, że praca społeczna to bolszewicki wynalazek? A w tej konkretnej sprawie jest to po prostu na dłuższą metę niemożliwe. Ładne, ale niemożliwe.

- Zgadzasz się z tobą. Bywało i tak, że kiedy chciałem jakieś koszty zwrócić, to się na mnie obrażano. Skończę ci tę opowieść o odbudowywaniu po dwóch kolejnych wpadkach. W sierpniu 83 wszystko było już znakomicie odbudowane. I wtedy padł strzał: potworny numer dał jeden z przywódców podziemia. W tym praktycznie mogliśmy się już w ogóle nie pozbierać. Gdyby nie przypadek... Część sprzętu, który miałem rozdać, zamelinowałem w melinie, o której działacz nie wiedział. I udało się go ocalić.

- Sądziś, że on by sypnął?

- Nie - on by tego nie zrobił! Inni by rozkradli. To co było w gestii działacza zostało rozkradzione.

- Czyżby ci złodzieje chcieli samodzielnie wydawać bibułę?

- W każdą niedzielę możesz kupić drukowany na tym sprzęcie "Sen-
nik egipski" albo "Życie po życiu". My nawet podejrzewamy kto ło zro-
bił i kto drukuje. Masz więc kolejny okres, w którym stawiam sobie
za cel, że odbuduję i pchnę do przodu, a potem się odsunę. Poprzecz-
kę postawiłem wyżej, bo okazało się, że mamy 100 tysięcy długów.
Znikąd nie mieliśmy pomocy. Oczywiście datki pływały, ale też za-
cząłem ludziom płacić. Był taki okres, że płaciłem złodziejom 15 ty-
sięcy za wydrukowanie numeru dając papier i płyty. Nie miałem innego
wyjścia. Uruchomiliśmy też wydawnictwo. I tak przyszedł grudzień 83.
Wszystko było dograne. Zabezpieczenie także, bo udało się nabyć du-
że ilości papieru. Jest rezerwa sprzętu... Właściwie wszystko. Mogę
więc ze spokojnym sumieniem wypłynąć./13 stycznia 84/

- Na ujawnienie jakby trochę późno?

- O ujawnieniu na pewno nie myślałem. Nie wyobrażam sobie, że bym
potrafił pojechać do prokuratury. Po drodze bym chyba uciekł, nawet
gdybym podjął taką decyzję. Nie dojechałbym, tego jestem na 100% pew-
ny.

- Jak więc wyobrażałeś sobie swoje ewentualne wypłynięcie?

- Między innymi dlatego żyję, jak to nazywasz, anonimowo. Otóż,
rozważałem ewentualność wyjazdu z kraju. Przeciwny zaś jestem wyjaź-
dom ludzi o znanych działaczowskich nazwiskach, którzy jakąś rolę
odegrali w komisjach zakładowych, nie mówiąc już o Zarządzie Regio-
nu. Ale wyobraż sobie co ja bym robił na Zachodzie. Zwariowałbym
tam. Brakowałoby mi tego co robię. Rozmawiałem z ludźmi i nikt nie
wierzył w to, że zrywam z robotą, że będę pertraktował w sprawie
wyjazdu. Wszyscy mówili: a to się rozpieprzy... właściwie to ja też
się wycofam. Czyli lekka presja środowiska. Poza tym zdawałem sobie
sprawę z tego, że uważałbym się za przegranego, gdyby nagle tylu lu-
dzi, z którymi pracowałem, zaczęło odchodzić. Pamiętaj też, że jed-
nej ze studentek, która wdepnęła w melinę, udało się uciec. Współ-
pracowała ze mną od początku. Usiłowałem ją wypchnąć z dziury, żeby
nie straciła studiów. Ona jednak zaparkła się i powiedziała, że nie
zrobi z siebie świni. Mimo wszystko byłem dla niej jakimś wzorcem.

- Czyli siedzisz w dziurze z powodów etyczno-moralnych?

- Właściwie te są chyba najważniejsze. Zdawałem sobie też sprawę
z tego, że wychodząc teraz pozwolę im na to, żeby mnie zeszmacili
do spodu. Pluliby równo. Przecież opowiadali gdzie mogli, że jak tyl-
ko wyję, to nareszcie będzie spokój z bibułą. Chcieli się wykazać,
a byłem jedynym, o którym wiedzieli, że te bibuły robi. A czymże by-
ły ich chamskie propozycje, żeby się umówił, a oni już sfingują
złapanie. Kto powiedział, że oni sami by tego potem nie rozpropago-
wali?

- Z historii wynika, że najwięksi doktrynerzy wychodzili na ogół
z podziemia. Spowodowane to było niewłaściwą percepcją rzeczywistoś-
ci. Nie obawiasz się, że ta choroba i ciebie może dotknąć?

- Nie grozi mi to.

- Znaczy masz właściwy odbiór rzeczywistości?

- Być może w tej chwili nie. Żyję wśród ludzi, z którymi zawsze
mam wspólny język, wspólne widzenie świata. Dobieram sobie lekturę,
która mi odpowiada... Stworzyłem sobie taki światek, w którym psy-
chicznie jakos wytrzymuję. Dałem sobie słowo, że wtedy kiedy wszys-

cy będziemy wychodzić z podziemia, to ja całkowicie zrywam z tym co robię.

- Zostajesz szefem propagandy raczej?

- Daję ci słowo, że absolutnie z tym zrywam. Wychodzę z tego i bawię się w ogródek działkowy czy coś takiego.

- Nie byłabym tego taka pewna.

- Jestem pewien, bo zawsze potrafiłem znaleźć sobie jakąś pasję. Zawsze się czemuś poświęcałem i robiłem to od początku do końca. Najpierw było to harcerstwo - dopóki było jakie takie. Potem nie działałem w żadnej organizacji. Bawiłem się sportem. Uprawiałem go wyczynowo i bardzo udzielałem się w klubie. Potrafię więc w nowej sytuacji znaleźć sobie nową pasję. Mogę odejść od tego co robię kiedy przyjdzie czas.

- Ty przecież nie byłeś aktywnym działaczem "Solidarności". Jak więc to się stało, że akurat ty stałeś się jednym z czołowych wydawców bibuły?

- Mnóstwo było w tym przypadkowości. Przez przypadek znalazłem się 13 grudnia na strajku w zakładach... Nie uciekłem, choć miałem świadomość, że żarty się skończyły i nie będzie to spotkanie z Siwakiem. Może być bicie, strzelanie i Bóg wie co. Nikt zresztą z tych, którzy tam się znaleźli, nie uciekł. Robotnicy pięknie nas przywitali. Bardzo nas to podbudowało, a robotnicy bardzo się ucieszyli. Duże wrażenie zrobiło przybycie ludzi z zewnątrz. Akurat wówczas wybuchła panika spowodowana komunikatem RKS. Był on niejasny a z czwartego punktu wynikało, że strajkujący mają podjąć bezterminową głodówkę. To spowodowało istny popłoch. Wtedy ci z zewnątrz spakowali się i chcieli opuścić zakłady. Dość brutalnie zainterweniowałem. Nawymyślałem od tchórzy oraz wytłumaczyłem, że nikt im żarcia nie zabiera. Udało mi się. Wówczas poproszono, żebym to wytłumaczył także robotnikom. Zrobili ze mnie trybuna. Jeździłem melexem od hali do hali. W tej sytuacji nie mogłem już wyjść ze strajku. Potem była pacyfikacja zakładów. Uratował mnie robotnik, który musiał mnie pamiętać z trybuny. Wcześniej miałem zabawną rozmowę z porucznikiem milicji. Zaczął się przede mną tłumaczyć, że jest tutaj przez przypadek, że go zmusili, że nie wierzy w komunę itd. Powiedział mi też, że działacze RKS nie złapali. I kiedy ubek zwrócił się do mnie z zapytaniem co tu robię, to ten milicjant powiedział, że zostawił dokumenty i czeka. Potem ten robotnik zabrał mnie jako inżyniera. Wołał, że coś im się zepsuło i pan inżynier szybko to musi uruchomić. Część studentów także przebrano za robotników i tak się uratowaliśmy.

W styczniu zameldowało się u mnie dwóch robotników. Proszą, żebym im pomógł w uruchomieniu pisma w zakładach. Było to dla mnie dość szokujące, ale zgodziłem się. Zrobili dwa niezłe numery i robota stanęła. Była dość długa przerwa. I znowu przyszli z prośbą o pomoc, bo nie dają rady. I tak już zostało. Początkowo wszystko drukowaliśmy u mnie. Udało mi się po jakimś czasie wykombinować elektryczny powielacz. Zapomniałem jeszcze o dość istotnej sprawie. Otóż, jeden ze znajomych, blisko ze mną współpracujący w czasie strajku, na trzeci dzień przelażł przez kraty i wszedł na teren zakładów. Nie znał z imienia nikogo z komitetu strajkowego. Wszedł więc do szatni i poprosił, żeby zawołali kogoś z tego komitetu. Poznali go i udało się. Wyniósł powielacz.

- Rzeczywiście sporo w tym przypadku, ale jednocześnie sporo ciebie samego z twoimi predyspozycjami. W zasadzie określiłeś siebie jako człowieka na okres działalności wydawniczej konspiracyjnej, skoro potem chcesz z tym zerwać.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że potrzebuję w życiu mieć także bodźce zewnętrzne.

- Czyli lubisz mocne życie?

- No, powiedzmy. Mam świadomość, że nie nadawałbym się do działania nawet na szczeblu Komisji Zakładowej, bo jestem apodyktyczny. Nie chodzi mi o to, że wymyślę jakiś program i nie ma dyskusji. Chodzi mi o stronę techniczną czy organizacyjną. Jeżeli coś ma być zrobione, to ma być i koniec. Jeśli nie jest, zrobię sam.

- Jesteś złym kandydatem na szefa, skoro robisz za ludzi.

- Jeśli nie wychodzi, to zrobię. Zresztą nikt mnie nie określa tym mianem. Nigdy takie słowo nie padło. To mi się udało, bo nikt mnie tak nie nazywa. Na dobrą sprawę to nikt nie wie, czy ja to robię od początku do końca sam, czy nie. Wszyscy moi współpracownicy czują się tymi, którzy na efekt końcowy mają wpływ. Znam mniej więcej zapotrzebowania.

- Bo stale masz do czynienia z tą samą ekipą.

- Nie. Ekipa nie jest stała. To się zmienia. Możesz przeanalizować "gazetkę" i wtedy zobaczysz, że informacje z poszczególnych zakładów przybywa. Wchodzą informacje z nowych wydziałów, a nie tylko z tych, które powtarzały się non stop. To jest dopływ informacji od ludzi świeżych. Wyszukuje się nowych ludzi. Ja też chodziłem, bo oni chcieli zobaczyć z kim pracują. I tak powstał krąg informatorów. Teraz bazuję głównie na korespondencji i to w zupełności wystarczy. Z ludźmi nie widuję się miesiącami, a jesteśmy w lepszej przyjaźni, niż gdybyśmy się widywali. Informacja przepływa bardzo sprawnie, bardzo szybko. W ciągu 48 godzin wiemy o sobie to co potrzeba i co nie potrzeba. To mi też pomaga siedzieć w dziurze. Nie muszę gonić po mieście. Poza tym mam bardzo dobrą melinę. O nic nie muszę dbać. Z początku robiłem wszystko sam, teraz mnie to nie interesuje. Jedzenie mam punktualnie itd.

- A życie osobiste?

- Można się przyzwyczać!

- Na jak długo? A rodzina - żona, dzieci?

- Tutaj ciągnie. Mam okresy, kiedy ciągnie mnie w sposób nieprawdopodobny.

- Sądzę, że od czasu do czasu dokonujesz samooceny. Nie dostrzegłeś jakichś zmian w swojej psychice, wynikających z bycia "ściganym"?

- Mnie jest stosunkowo łatwo siedzieć w dziurze, mam bowiem dość dużą zdolność asymilacji do każdego warunków. Potrafię to zrobić i po pewnym czasie wszędzie dobrze się czuję. Nawet siedząc w więzieniu po paru dniach czułem się tam coraz lepiej, bo potrafiłem sobie stworzyć mikroświatek.

- Ja to nazywam inteligenckim dorabianiem ideologii.

- Może to jest coś takiego. Trzeba sobie wytłumaczyć, że tutaj mam żyć i tutaj jest mi dobrze. W celi miałem np. dwóch kapusiów. Świetnie się bawiłem. Opowiadałem im jak prukłem kioski. Nie mówiłem, że jestem polityczny... Udało mi się atmosferę w celi kierować zgodnie z moim w danym momencie nastrojem. Wiedziałem jednak, że układ może się zmienić, że może być inaczej. Znałem recydywistę, chłopaka w moim wieku, który przesiedział 12 lat i twierdził, że można siedzieć. Wierzyłem mu, skoro on przesiedział. I stąd, jak powiedziałeś, dorabianie ideologii. Taka jest potrzeba chwili i trzeba się za-

dowolić tym co jest. Tak trzeba. Są okresy kiedy chciałbym się wyrwać. Brakuje mi towarzystwa jak jasna cholera. Zawsze je lubiłem. Nigdy nie zamykałem się w kręgu 2 czy 3 osób. Teraz niestety widzę te same twarze. Czasami trafia mnie szlag. Obiłbym ich wszystkich, ale nie prowokuję awantur. Po prostu wyłączam się, wychodzę pod byle pretekstem. Oni są dla mnie bardzo wyrozumiali i ułatwiają mi przeżycie trudnych momentów. Poza tym jestem impulsywny i niestety potrafię zbluzgać w sposób nieprawdopodobny. Szybko mi jednak mija.

- Po co to wszystko robisz? Po co te wyrzeczenia, dorabianie ideologii?

- Uwierzyłem w to, że musi być lepiej, że nie może być tak jak jest, bo tak nie można żyć. Nie potrafiłbym żyć jak do tej pory, tzn. udając, że nic się nie dzieje. A tak żyłem do roku 1980. Teraz biorę gazetę do ręki i dostaję furii.

- Czytasz prasę?

- Z obowiązku, żeby wiedzieć na co kłaść nacisk. Obowiązkowo prenumeruję codzienne szmatławce, oglądam DTV i słucham radia. To ułatwia mi robotę. Ułatwia mi ją też sięganie do bibuły emigracyjnej. Złe jest, że tak niewiele wspomina się o ludziach, którzy robią dobrą robotę na Zachodzie.

- Jak to, ostatnio Dzielski zaatakował w "13 grudnia" antykomunizm Giedroycia.

- Co to w ogóle jest "13 grudnia"? Dzielski powinien sobie rękę podać z Korwinem-Mikke i udzielać wywiadu dla "ITD".

- Powiedziałeś, że musi być lepiej. Co to znaczy? Jak sobie to wyobrażasz? Jaki jest program, który ma to "lepiej" zmaterializować?

- Powiem truizm. Na pewno programem jest pełna niepodległość i suwerenność Polski. Doskonale zdaję sobie sprawę, o co mam do siebie pretensję, że de facto to dość odległa perspektywa. Takie przekonanie nie ułatwia ani życia, ani działania.

- Jest to, powiedzmy, program maksimum. Mówmy może konkretniej.

- A więc program na dziś, na teraz. Całkowicie poświęcam się temu, żeby wreszcie do cholery białe było białe, a czarne czarne. A nie białe jest czarne i na odwrót.

- I to właśnie robisz w "gazetce"?

- Tak. Wiem o tym, jak bardzo ludzie byliby zadowoleni, gdyby wreszcie nie było tego ohydneho, perfidnego zakłamania.

- To jest pochodna systemu.

- I ostrze mojej działalności, że się tak wyrażę, jest właśnie przeciw tej pochodnej. Z tym się nie da żyć. Człowiek, który myśli i chce myśleć, nie potrafi żyć bombardowany z każdej strony kłamstwem. Jeśli nie będzie repliki, to w ludziach ten osad zostaje. Wiem od czytelników z korespondencji, że pragną by to kłamstwo obnażyć, mimo iż sami wiedzą, że jest to kłamstwo. W oficjalnych szmatławcach piszą np., że były wybory do samorządu w zakładach pracy i frekwencja wynosiła od 70 do 80%. Wszyscy wiedzą, że żadnych wyborów nie było, że to w ogóle fikcja, bo tego nie było. I o tym musisz napisać.

Moim celem jest więc ujawnianie faktów i prawdy takiej jaką ona jest po prostu. Zastanów się - władza opiera się na trzech czynnikach: ekonomicznym, siłach zbrojnych i przepływie informacji. Do e-

kononii ani do się zbrojnych się nie dobierzemy, choćbyśmy się wściekli. Możemy to sobie młotkiem z głowy wybić. Ale monopol informacyjny można w bardzo skuteczny sposób, chociaż dla jakiegoś procentu tych "naszych", przełamać. A to ich bardzo boli. Tutaj jest pole do popisu. Stąd poszedłem nie w działalność myślowo-kanapową, ale w konkretną działalność bibularską. To jest dziedzina, w której mamy największe sukcesy. Bibuła jest to hydra, która będzie się odradzała. Sam przeżyłem kilka wpadek. Działała to na ludzi mobilizująco. Miałem już przypadki, że włączali się ludzie, o których byś nigdy nie pomyślała, że mogą coś zrobić! W sytuacji, kiedy tytuł jest zagrożony, wejdzie taki w nocy do drukarni i wydrukuje. Takie przykłady ofiarności były po każdej wpadce. Tylko po technikach drukarskich poznawałem gdzie drukowali.

- Czy czujesz się bezpieczny w swojej "dziurze"?

- Zupełnie bezpieczny. Nie sądzę, żeby mnie ktoś sypnął. Brak by mu było chyba motywów, żeby mnie sprzedać.

- Nie myślałam o sypaniu, ale o tym, że ubecja może cię namierzyć. Starsze pokolenie, które przeszło przez terror okresu stalinizmu twierdzi, że to kwestia czasu, że z milicją nikt nie wygra, bo milicja ma środki, którymi człowiek nie dysponuje.

- To jest kompleks ludzi, którzy przeszli przez milicję lat 40-tych i 50-tych. Miałem w dzisiejszą milicję trochę do czynienia. Powiem ci, dlaczego my tak długo egzystujemy... To są ludzie, którym brak ideologii. Oni to robią tylko i wyłącznie dla pieniędzy. Dawniej kierowały nimi rozmaite motywy. Np. wyszedł ze wsi, był władzą, liczył się i imponował w środowisku. A teraz? Mnóstwo jest rozwołów. Ostracyzm środowiskowy jest koszmarny, jeśli się ktoś ujawni jako milicjant. W tej chwili dają im całe bloki, wykwaterowują lokatorów, czego dawniej nie było. Tego normalny czytelnik nie wie.

Rozmawiasz z nimi i czujesz, że są bez motywacji. Widziałem ich w czasie rewizji u mnie w mieszkaniu. Wstydzili się tego, co robią. Nie wiem... może trafiłem na takich. Do tej pory miałem do czynienia może z trzydziestoma. I co? Działają stricte według instrukcji. Żaden nie przyłożył się ekstra. Dam ci przykład przesłuchania. Bierze mnie ubek z celi o piątej po południu. Zaczyna ostro. Ja się konsekwentnie nie odzywam. Trwa takie przesłuchanie do dziesiątej. O dziesiątej ubek podnosi kołnierz i strzela w kime. Spi do drugiej w nocy. Budzi się zdziwiony, że tak długo spał. Daje mi gazetę, że bym sobie poczytał, bo jeszcze do piątej musimy tak siedzieć. Co się okazuje? Do dziesiątej siedział za ścianą jego szef i słucał. Potem wyszedł, to ubek uderzył w kime. O piątej mnie odprowadził do celi i powiedział klawiszowi, żeby mi pozwolił pospać. Taki jest przeciwnik, a my jesteśmy fanatycy. Tutaj widzę całą sprawę. U nas ~~prawda~~ jednostki sypią. Gdyby ta milicja działała jak w latach 50-tych, to wszyscy byśmy siedzieli. Przecież ludzie tak plotkują... Ale nie mają wśród nas konfidentów.

- Iluś tam mają. Jak sądzisz, mają na zwiększenie ich ilości coraz mniejsze, czy coraz większe szanse?

- Coraz mniejsze. Poza tym wierzę w jedno, że u nich przybywa naszych sympatyków. Jednak z tą wojną komuna nieco przegięła. Uwierzyli w jej konieczność przez pierwszych parę miesięcy.

- Jaruzelski, jako generał, miał pomysł wojny tylko na jedną noc 12/13 grudnia. Potem potrzebny był polityk.

- On był przecież politrukiem.

- Eugeniusz Szyr też był politrukiem w wojsku hiszpańskim i rów-

niez nie wyrósł z niego polityk. Program WRON-y skończył się na armatkach i pałach. Poza tym nic szczególnego nie zaproponowano.

- Kompletnie nic. Oni wierzyli w jedno, że odcinając głowę, czyli tych ludzi, którzy wypłynęli na fali jawnego działania, likwiduje się wszystko. My musimy pamiętać jeszcze o jednym. W latach 40-tych podział w społeczeństwie był bardzo wyraźny. W tej chwili go nie ma. Na dobrą sprawę nie wiesz kto jest kto. Wtedy wiadomo było, że ten z PPR to jest bolszewik i nienawidzi się go, bo wszyscy nienawidzili ich od początku. W latach okupacji też miałś podział: Polak - Niemiec. A tutaj gdzie masz ten podział?

- My i oni.

- To jest wszędzie. Podam ci przykład. Rozmawiałem kiedyś z oficerem, który był sędzią skazującym w procesach "Solidarności" w sądzie wojskowym. On nienawidził komuny. Nie tylko on jeden wśród tych niby "ich" ludzi. To mi pozwala optymistycznie patrzeć i daje impuls do działania. Jeżeli oni nawet w kadrze oficerskiej nie ufają swoim oficerom. Wielu znam takich, którzy byli w grupach operacyjnych i wręcz pomagali przy strajku.

- Czy przypadkiem nie myślisz życzeniowo?

- Absolutnie nie. Na poparcie moich spostrzeżeń dam ci jeszcze taki przykład. W grudniu 85 do grup operacyjnych musieli dobrać ludzi. Politrucy wyznaczali tych, którzy mają iść. Nie mogli iść po prostu z urzędu. Robili dodatkową selekcję kogo można puścić a kogo nie. A idź do kościoła w pobliżu jakiegoś osiedla oficerskiego. Zobaczysz, ilu ich chodzi. Łatwo poznasz po tym jak są ostrzyżeni.

- Na jak długo obliczasz swoje siedzenie w podziemiu?

- Pesymistycznie na dwa lata jeszcze, a optymistycznie na rok.

- Oczywiście nie biorąc pod uwagę interwencji ubecji?

- Oczywiście. Sądzę, że jak do tej pory mam trochę szczęścia. Trzeba przede wszystkim zachować trochę zdrowego rozsądku i można długo siedzieć w dziurze.

- Czy zawsze możesz liczyć na to, że znajdą się ludzie, którzy cię przyjmą, pomogą ci się ukryć?

- Ostatnio zwróciło się do nas dwoje ludzi z innego miasta z prośbą o schowanie ich, bo podobno u nas jest najlepiej. Mit sprawie działającego regionu istnieje w innych regionach. Znalazłem dla nich klatki bardzo szybko. Chętnych było sporo. Nie było z tym żadnego problemu. Ludzie się tego nie boją. Jeżeli ktoś chce się schować to się schowa. Wiem jednak o tym, że decyzja pójścia w podziemie nie może być wymyślona przy biurku. Musi być jakiś impuls, który człowieka determinuje. Potem tę determinację trzeba utrzymać w sobie. Z początku - pamiętam - byłem strzępem nerwów. Każdy podjazd samochodu, każde zatrzymanie się windy wprowadzało mnie w stan paniki.

- A teraz oswoiłeś się?

- Zupełnie. Można się nauczyć ukrywać. Wyostrza się człowiekowi węch.

- Czy słyszałeś o takich spekulacjach jak np. ta. Podejrzewam, że jest ona w ogóle ubeckiego chowu. Mianowicie: jak to się dzieje, że ubecja nie namierzyła np. Bujaka? I tu opowieść, że podziemie okupacyjne, oparte na wojskowej strukturze, nie jakieś zakładowe, doskonale zorganizowane, a jednak Niemcy Grota namierzyli. Co więcej, mieli słabsze rozeznanie w społeczeństwie, niż rodzimi ubecy. Co odpowiesz na takie postawienie sprawy? Rozważania takie słyszałam

osobiście.

- Widzisz, my jesteśmy pokoleniem, które żyje w komunizmie i jest równie chytre na totalitaryzm jak i nasz przeciwnik. Czujemy się tutaj jak ryba w wodzie. Nie zapominaj, że pokolenie, które brało udział w działalności podziemia okupacyjnego miało do czynienia z totalitaryzmem po raz pierwszy.

- Poza incydentalnymi wyskokami pałkarzy B. Piaseckiego.

- Naiwność ludzi podczas wojny graniczyła z głupotą. I przeciągnęła się na okres tuż po wojnie. Czymże było ujawnienie się Okulickiego? Albo historia WiN, który po roku 1950 był cały ubecki. To pokolenie było naiwne. My nie, choć właśnie tamto pokolenie nam to zarzuca. Oni przegrali parę razy. Nie wyobrażam sobie, żeby w tej chwili ktoś ściągał obrączki z palców i dawał jakiemuś następnemu, który przyjdzie po Jaruzelskim. Oni w 1956 dawali Gomułce na placu.

- A ten tego nie chciał i nie wziął.

- Czy teraz ktoś mówi jeszcze o liberalne Kubiaku i chamie Siwaku? Nikogo to nie obchodzi. Chyba, że jakiś Margueritt to puszcza, bo taką funkcję ma do spełnienia.

Wracając do starszego pokolenia. Oni tyle razy przegrali, że po prostu nie wierzą. Jest dokładnie jak w Powstaniu Listopadowym. Padło dlatego, że dowódcy nie wierzyli, że można wygrać. Nasze starsze pokolenie ma na sobie piętno niemożności wygrania z totalitaryzmem.

- Jakie nadzieje wiążesz i orwellowskim rokiem 1984?

- Wierzę, że takich trzech państw, jak u niego, nie będzie. Słuchaj, czy my się wiele w gruncie rzeczy różnimy od tego co Orwell napisał? Na każdym kroku fałszowanie historii do tyłu. Przecież w tej chwili nie istnieje już nic między rokiem 1980 i 81. U Orwella w Ministerstwie Prawdy robili to samo.

- Różnimy się wyglądem kobiet, bo jeszcze nie wszystkie są szare i bez wcięcia w tali.

- I prolet nie jest taki jakim go widział Orwell.

- Wróćmy jeszcze do "Solidarności". Czy zgadzasz się z opinią, że "S" to zamknięta historia?

- Tak, i do historii nie ma powrotu. Ona idzie naprzód. Do formuły związku z roku 1980 nie wrócimy już. Nawet podpisując jakieś umowy, w co ja nie wierzę, podpisywalibyśmy zupełnie inaczej. Czekaliśmy jak stare naiwniaki aż sejm coś tam uchwali. W pewnych sprawach można było działać metodą faktów dokonanych. Nam się zachciało z oszustem, który trzymał w ręce sztylet czy pistolet, wchodzić w układy jak z partnerem. W tej chwili nikt z tych, z którymi pracuję, nie powie ci, że powtórzy się Sierpień.

- Czyli przy kolejnym przewrocie nie popełni się błędów tego z roku 1980, ale popełni się nowe. Podobnie było i przy poprzednich. W 1980 nie popełniono błędów z roku 1956.

- Sądzę, że błędy teraz będą mniejsze. Ludzi działających, myślących jest więcej - i to jest skutek tych 16 miesięcy. Po naszej stronie jest więcej ludzi mądrzejszych, trzeźwo myślących. Powiedz mi, czy po wojnie wronie powstał choć jeden dobry reportaż w tej ich prasie? Albo popatrz na to, kto spośród ekonomistów z nimi współpracuje. Jaruzelski musiał sięgnąć po Gorywodę, żeby mu uzdrowił gospodarkę... Uzdrowi mu jak ten poprzedni - krzaczasty. Człowiek ciemny i głupi, który z ekonomią niewiele miał wspólnego. Gdyby wziął tabelę wiekową zatrudnienia - to nie rozpuściłby ludzi w wieku 55-60

lat na wcześniejsze emerytury. Zobaczyłby, że spieprzy mu najlepsza kadra. Ten człowiek jest za to odpowiedzialny.

- Wracając do "Solidarności". Wydaje mi się, że ludzie działający w podziemnych strukturach nadal uważają, że są w "Solidarności".

- Oczywiście, ale w "Solidarności" troszkę innej. Porozmawiaj z szarym działaczem związkowym. On jest w organizacji "Solidarność" - tak to nazywają. Mówią też - w zakazanej organizacji. Przecież to komuna w nowomowie wprowadziła, że to jest zakazana organizacja. W życiu się nie przyznają, że zakazali związku zawodowego.

- Czy głównym wyznacznikiem tej organizacji jest antykomunizm?

- Antykomunizm - tak. Postawiłbym to na pierwszym miejscu. To ludzi jednoczy. Mało powiedzieć "anty". To jest wręcz zwierzęca nienawiść. Gdybyś widziała, jakie inwektywy przychodzą w korespondencji pod adresem czerwonego. Na drugim miejscu, co też nie jest tajemnicą, postawiłbym antysowieckość. Jest niesamowita. Ludzie pocieszają się tym, że Reagan nie pozwolił im wejść na Grenadę, że dostali w d... na Malwinach, bo to też przecież ich inspiracja. Tym się ludzie pocieszają.

- Jaka jest obecnie rola "Solidarności", ludzi działających w podziemnych strukturach?

- Ludzie ci mają ten wózek pod nazwą "Solidarność" dociągnąć do momentu, nazwijmy to z małej litery, zwycięstwa. Na pewno nie będzie to zwycięstwo przez duże "Z". Nie będzie to nagle niepodległość, chociaż kto wie...? Mają więc dopchać ten wózek, a wówczas reszta, która się nie nadstawiała, wejdzie do jawnego działania. Celem ich jest po prostu przechowanie wartości powstałych w ciągu 16 miesięcy jawnego działania "Solidarności". Żeby to nie zginęło tak jak działo się to po roku 1968, czy 1970. Dopiero po roku 1976 coś się zaczęło. Byli już ludzie, którzy organizowali wolne związki, którzy ten wózek pchali. Pamiętasz, kiedy Jagielski przyjechał do Stoczni - od razu zapytał, czy będą ci z KOR. To jest znamienne. On się ich bał jak ognia, bo wiedział, że to jest przeciwnik. Nie bali się robotników i inteligencji, tylko tych z KOR. Dlatego teraz na nich mszczą się najbardziej! A kogo wyłowili z NSZZ "Solidarność"? Tych siedmiu, którzy najlepiej widzieli sprawę.

- Czy nie wydaje ci się, że w imię tego nadrzędnego celu można zaprzestać walki o władzę w podziemnych strukturach?

- Władza to jest rzecz, która zawsze pociągała. To leży w ludzkiej naturze. Widzieliśmy to przecież także w 1980. Ileż było bezsensownych wodzowskich zapędów. A teraz... Ewentualnych rozgrywek na szpicy "Solidarności" ludzie nie widzą. To się udaje wyhamować. Potrafimy to pacyfikować w bibule, tłumacząc, że kopie się grób nie tylko dla siebie, ale i dla wszystkich dookoła. Działa się na zasadzie: masz coś, to przyjdź i powiedz. Można sobie głębę obić, ale musi się jakiś złoty środek wynaleźć.

- Życzę ci wszystkich możliwych złotych środków oraz pomyślności "w dziurze".

WIDMO PRZYSZŁOŚCI

Zbrodnia, której ofiarą padł kapłan wybitny i zacny ks. Streich, jest czymś u nas dotychczas niesłychanym. Pytamy, jak to się stać mogło, gdzie mamy szukać jej źródła? Szukać należy w zgniłej atmosferze, którą oddychamy. Kto tę zgnią atmosferę stworzył? Wytworzyła propaganda sowiecka tak, niestety, przez nas głupio lekceważona, a prowadzona przez nich z niezrównaną umiejętnością i zręcznością.

Od lat 20-tu piszę, mówię o tym, nie mówię, ale krzyczę, a jak nieliczni są ci, co głos mój słyszą. Od pierwszej chwili, tj. od listopada 1918 r. wyczułem w bolszewizmie zjawisko odmiennego rodzaju, nie podobne do tych, które tłumaczymy warunkami czasu i miejsca - i wyznaję, choć niejednemu wydać się to może dziwnem, nawet śmiesznym, że charakteru, jaki przybrał terror w Rosji, nie umiałem wytłumaczyć inaczej, jak mistycznie, tj. bezpośrednią ingerencją zaświatowych, metafizycznych potęg ciemności do rzeczy tego świata.

Pamiętam, jak w grudniu 1918 roku mówiłem o tem z młodym jezuitą niemieckim, O. Fr. Muckermannem, który wówczas był tu w Wilnie, kapelanem wojsk niemieckich, a tak chlubnie się zapisał w pamięci Wilnian, dziś zaś należy do najgłośniejszych i najświetniejszych pisarzy niemieckich.) Narazie pogład mój ogromnie go zdziwił, wszystko to było dla niego, jak się wyraził w pięknym liście otwartym p.t. "Die europäische Aufgabe Polens", którym mnie zaszczycił**) "tak nowe, niesłychane, nawet fantastyczne, bo skądże Europa nowoczesna, która o Bogu tak mało wie, tak mało się tem interesuje, mogłaby cokolwiek wiedzieć o djable". Później, po gorzkich doświadczeniach w niewoli bolszewickiej, przyznał mi słuszność. "Nie rozumie bolszewizmu - pisze on w wymienionym liście - ten, kto go nie ujmuje jako potęgę, poza którą czujemy działanie demonicznego pierwiastka we wszechświecie".***)

Bo co jest celem bolszewizmu: Walka z Bogiem, z ideą Boga, do szalonego wyzrobienie jej z duszy człowieka. Ideę zaś Boga kojarzymy z temi najwznioślejszemi i najlepszemi uczuciami, które ogarniają nas w najwznioślejszych i najlepszych chwilach życia naszego. Człowiek chciałby się wydobyć z ciasnoty bytu doczesnego; od rzeczy małych i marnych, od tego, co przechodzi i znika, rwie się serce ku temu, co nie przechodzi i nie znika. Patrzymy z rozkoszą na ptaka, szybującego po błękitach, to symbol dalekiej, a nieskończonej szczęśliwości, za którą tęsknimy, obrzydzeniem przejmując się, czując się po ziemi.

Ten pęd do góry jest wrodzony człowiekowi, kaleką jest, kto go w sobie nie czuje; bolszewizm postanowił okaleczyć człowieka. Zdawałoby się, że bolszewicka koncepcja zmechanizowanego świata, w którym żywi ludzie staliby się bezdusznymi maszynami, powinna budzić uczucie wstrętu. Niestety, - nie! Z bólem stwierdzamy, że ma ona w sobie jakiś niezdrowy urok, który pociąga człowieka współczesnego. Ten jego nastrój określa Miereżkowski jako wolę, czy żądze pozbycia się

*) O. Muckermann przebywał w Rzymie, jako wygnaniec z państwa Hitlera.

**) W księdze zbiorowej, którą mnie ofiarowano spowodu 50-lecia mej pracy pisarskiej /Kraków 1933-34/.

***) Eine Macht, in der Hintergründen das Dämonische spürbar wird.

swego ja /wola k biezlicznosci/.

Nie być sobą, ale zato być w Bogu, tonąć w przedwiecznym, absolutnym pięknie Bożem, czyli z natury wznosić się w nadnaturę - stanowi to najgłębszą treść religii. Nie być, przestać być sobą, ażeby stać się kółkiem w maszynie nakręcanem, jak zegar, w oznaczonej porze na oznaczony czas, jest najohydniejszą karykaturą religii, jaką wyobrazić sobie można.

To antyreligia, spychająca z wyżyn człowieczeństwa w otchłań niezczemnienia. W tę otchłań spada Rosja sowiecka i za Rosją spada, ze wzrastającą szybkością rzuconego kamienia, stara Europa. "Takiego zjawiska - słusznie pisał dr. Jan Bobrzyński*) - nie oglądał jeszcze świat; takie powszechne zaślepienie, taka samobójcza, z zaślepienia tego wynikająca polityka".

Nic dziwnego, że Miereżkowskiemu nasunęła się myśl, że chyba świat zwariował, dotknięty jakąś mistyczną sugestią owych ciemnych mocy.

Nie, może to Miereżkowski zwariował, może ja zwariowałem, bo jakże to nam literatom, ludziom ze świata marzeń czy ideałów przeciwstawić się realistom politycznym, politykom z fachu, kierownikom państw? Czy nie jest to zuchwałą zarozumiałością uważać za głupstwo, za upadające i samobójcze głupstwo, te pakt o nieagresji, które oni wybłagują u bolszewików i tryumfalnie obwieszczają światu, jako zdobycze, jako arcydzieła sztuki dyplomatycznej, zapewnianiące ludziom spokój i na długie lata pomyślność?!

Bo czymże są w istocie te pakt? Są hołdem, który składamy Sowietom, stajemy wobec nich w stosunku wasala do suwerena. Pakt obowiązuje wasala, lecz nie obowiązuje suwerena, który nawet nie zadaje sobie trudu ukrywania tego: głosi otwarcie, że honor, moralność, są to przesady burżuazyjne. I widzimy już na półkach księgarskich książki na cześć suwerena przez jego wasalów pisane, jak "Opierzona Rewolucja" Melchjora Wańkowicza, albo "Sybir bez przekleństw" Lepeckiego. W roli wasalów najpotężniejszego suwerena stanęła również cała prasa nasza, za jedynym, o ile wiem, wyjątkiem "Słowa" wileńskiego, wpadła w szal radości, bez różnicy stronnictw, czy odcieni politycznych. Dla jednych pakt był "usunięciem miecza Demoklesa, wiszącego nad Polską", dla drugich "najpomyślniejszym zdarzeniem w Europie i Azji", dla innych nawet "szczęściem". Ale największym dla wasalów tryumfem było przyjęcie Sowietów do Ligi Narodów. Jeden z poważnych publicystów naszych z namaszczaniem pouczał nas, że tem samem "rząd sowiecki przyjmuje na siebie zobowiązanie poddania się uchwałom Ligi Narodów, a obecność jego stanowi gwarancję, że Rosja bolszewicka nie uchyli się od usiłowań, mających na celu stworzenie wspólnej platformy rozbrojeniowej dla całej Europy".

Jakże inaczej spojrział na to znakomity pisarz szwajcarski, profesor Gonzague de Reynold: przyjęcie Sowietów do Ligi - pisał - jest równoznaczne z poddaniem się jej dyrektywie moskiewskiej.

Z ust człowieka bardzo wybitnego, a gorącego - podkreślam to - katolika, słyszałem, że bolszewizm, grasujący w Polsce, jest bardzo pożyteczną szczepionką, trzeba trochę tego jadu wpuścić do ciała - i to nas ochroni od zbolszewizowania zupełnego!

Przy całym moim pesymizmie w kwestii stosunku naszego do bolszewizmu nie wyobrażałem, że bolszewizm tak głęboko zagnieździł się w duszach naszych, nawet w duszach katolickich. Czy nie oznacza to, że Polska już dojrzała do przewrotu komunistycznego?

Jakże głęboko zrozumiał to Ojciec św., stwierdzając w ostatniej syntetycznej encyklice swojej Divini Redemptoris, że niebezpieczeń-

*) "Nasza przyszłość", październik, 1931.

stwo bolszewickie nie tylko się nie zmniejszyło, lecz z dniem każdym rośnie i dzięki kreciej robocie propagandy już się wkrada do stowarzyszeń katolickich. Nic w tem dziwnego; posłuszni rozkazom moskiewskim bolszewicy, umieją ukryć zamiary swoje pod osłoną hasła katolickich i w ten sposób pociągają za sobą naiwnych katolików.

Widmo przyszłości prześladowuje mnie i dręczy, we dnie i w nocy. I nie jest to sugestią strachu, ani wytworem rozgorączkowanej, chorej wyobraźni. Nie, widmo, o którym mówię, wyrasta z rzeczywistości, z tego, na co patrzymy własnymi oczami, z mordu, dokonanego na osobie księdza Streicha; chmura czarna, brzemienne piorunami, pędzi na nas od najbliższego nam wschodu, od Mińska i Kijowa, od Smoleńska i Moskwy; co będzie - pytam - gdy nagle, pewnego dnia znajdziemy się wszyscy w kleszczach czerwonego terronu, nie koniecznie moskiewskiego, znajdziemy i u nas nowych Dzierżyńskich.

Czytamy w Ewangelii, że przyjdą czasy, "gdzie ludzie schnąć będą od strachu z oczekiwania tych rzeczy, które będą przychodzić na wszystkich świat" /Luc. XXI/. Czasy te już przyszedły tam, o miedzę od nas - i do nas idą. Winni temu są ci, co przeszkodzić mogli, a nie przeszkadzili: myśliciele i pisarze, jak R. Rolland, który podłym frazesem, iż ze zła rodzi się dobro i szczęście, zagłuszyli w sobie sumienie i nie słyszą jęku swych bliźnich, torturowanych i mordowanych tam, w Rosji; winni są publicyści, którzy z ulicy biorą hasła i z pomocą prasy urabiają opinie; winni ci, których oslepiła chciwość i w interesy z djabłem wchodzi, a najwinniejsze są rządy, które, kłaniając się i zabiegając o łaskę opętańców moskiewskich, tem samem wyrok śmierci sobie samym piszą.

Co nas od zbliżającej się nawałnicy uratować może? Tylko świętość mogłyby zwyciężyć w strasznej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza. Święci - pisał wielki biskup węgierski, Otton Prohaszka - to "żywe Te Deum", to "góry Boże, sterczące w niebo, w wieczność!... Gdy o nich myślę, czuję się jakby na wysokiej, cichej turni tatrzańskiej". Wejdźmy na nią, spójrzmy na tych olbrzymów ducha; są oni wyrazem najwyższych twórczych sił duchowych. To potężny prąd apostołstwa, płynący przez historię. Może ten prąd zmiecie wysiłki piekła...

Może, nie wiem, bo czy da się odrobić to, co dopuściła bezmyślna niedbałość, czy da się odeprzeć najście ciemności? Nie wiem, ale to pewne, że ciężkie, męczeńskie mamy próby przed sobą. Może niejednego z nas czeka los księdza Streicha. Niechże gotowi do tego będą ci, co chcą być hufcem Chrystusowym.

Marjan Zdziechowski

/ "Słowo", nr 78"5002/, Wilno, 20.III.1938/

Od redakcji: Ks. proboszcz Stanisław Streich został zamordowany w Luboniu pod Poznaniem w niedzielę 27.II.1938 r. przez komunistę Wawrzyńca Nowaka, w chwili gdy po Mszy św. wstępował na ambonę dla wygłoszenia kazania.

* * *

Tylko nie dajcie sobie wmówić,
że w mieście dżumy nie ma.
Sam jeszcze widziałem wiele trumien
wjeżdżających do bramy,
a ta nie była jedna.

Dżuma dotąd szaleje, lecz lekarze
nadają jej widocznie inne imiona,
aby uniknąć paniki.
Ta sama czarna śmierć,
nic innego,
a tak zaraźliwa,
że nikt jej nie uniknie.

Zawsze, kiedy wyjrzałem przez okno
chude konie ciągnęły żłowieszczy wóz
z wyziębłą trumną.
Tylko mniej się dziś dzwoni
nie kreśli się krzyży na domach
i nie wykadza jałowcem.

* * *

W cztery strony świata spogląda
czterech zdemobilizowanych ksiąząt wojska niebieskiego.
A w czterech stronach świata
wszystko zamknięte
na cztery spusty.

Słoneczną drogą wlecze się
stary cień słupa,
od godziny Kajdanów
do godziny Tańca
Od godziny Miłości
do godziny Smoczycy Pazurów
Od godziny Uśmiechu
do godziny Gniewu.

I jeszcze od godziny Nadziei
do godziny Nigdy,
skąd już tylko mały krok
do godziny Bez Nadziei
oraz turnikietu Śmierci.

Proszę cię, chłopcze, wskocz na fontannę
i szybko przeczytaj,
co piszą czterej ewangeliści
na kamiennych kartach.

Mateusz jest pierwszy.

Kto z nas, jedynie z radości,
może do miary swego życia dodać
choćby łokieć?

A co pisze drugi, święty Marek?

Czyż po to przynoszą zapaloną świecę,
by pod korcem stała,
a nie na świeczniku?

A ewangelista Łukasz?

Oko jest świecą ciała.
Ale gdzie wiele ciał
tam też zlatują się i orły.

Co wreszcie święty Jan,
umiłowany uczeń Pana?

Księżę trzyma na kolanach zamkniętą.
A więc ją, chłopcze, otwórz
Choćby zębami.

Jaroslav Seifert

Ź tomu: "Słup morowy"
1968 - 1970

Życ razem ze swym bohaterem

Coraz mniej jest w Polsce miłośników literatury, którym nazwisko pisarza czeskiego Milana Kundery byłoby całkowicie nieznane. Na przełomie lat '60 i '70 wydano u nas dwie jego książki: "Żart" /PIW 1970/, który jak dotąd przyniósł mu największą sławę, i "Śmieszne miłości" /Słask, 1968 i 1971/. Oprócz tych dwóch przetłumaczonych na język polski, Kundera napisał jeszcze cztery inne powieści: "Życie jest gdzie indziej", "Pożegnalny walczyk", "Księga śmiechu i zapomnienia" i wydana w ubiegłym roku na Zachodzie "Nieznosna lekkość istnienia". Wiele sławy przysporzyły mu też wspaniałe eseje na temat literatury i sytuacji kultury europejskiej.

Ale że Kunderę mimo wszystko więcej się u nas czyta, niż się o nim pisze, myślę, że nie zaszkodzi przypomnieć najważniejsze fakty z jego życiorysu. Urodził się w Brnie w 1929 roku w rodzinie słynnego czeskiego pianisty. W 1947 roku jako osiemnastoletni entuzjasta przemian dokonujących się w jego ojczyźnie wstąpił do partii. Po dwóch latach, w warunkach nasilającej się stalinizacji, został z niej usunięty za jakąś niezbyt fortunną, żartobliwą wypowiedź. Przez kilka lat pracował jako robotnik i muzyk jazzowy. Po zmierzchu epoki stalinowskiej został zrehabilitowany. Wykładał w Praskim Instytucie Filmowym wychowując wielu twórców nowej fali w kinie czeskim. Jego pierwsza powieść "Żart" napisana w 1965 roku, a wydana dwa lata później od razu stała się w Czechosłowacji prawdziwym przebojem literackim, obecnie przetłumaczonym już na 20 języków. Dziś Kundera mieszka i tworzy w Paryżu. Pozycję, jaką uzyskał ten czeski pisarz w literaturze europejskiej, zilustrować mogą opinie, które wypowiadali o nim ludzie liczący się w pisarstwie światowym: Louis Aragon w przedmowie do francuskiego wydania "Żartu" mówi: "...czytelnik znajdzie w tej książce klucz do tego, czego historyk nie wie, albo co przemilczy. /.../ "Żart jest jednak dowodem na to, że powieść jest człowiekowi potrzebna jak chleb". Nie szczędził książce komplementów Claude Mauriac: "Powieść tyleż poetycka, co polityczna, odznaczająca się pięknem niemal porażającym". W Polsce Kundera nie doczekał się wielu opracowań krytycznych. Witold Nawrocki w przedmowie do "Śmiesznych miłości" tak ocenił tego twórcę: "Pisarz przekonał, że posiada koncepcję dziełową głębszą i bardziej przydatną do interpretowania czasu współczesnego niż inni jego rówieśnicy generacyjni. Demaskując złudzenia nie chce też być epikiem zlekceważonych wartości, wie, że są do siebie bliźniaczo podobne i niejednemu pisarzowi przeszkoziły w rozumie i płodnej w konwencje myślowe analizie świata".

Kundera należy do pisarzy niepokojących czytelnika swoją stałą obecnością w dziele, które tworzy, nie chcących zrezygnować z prawa do rozmowy z czytelnikiem, nie pozwalających by zakneblowano im usta w trosce o sterylną analizę tekstu, choć równocześnie nie nachalnych w prezentacji własnego widzenia świata i losów stworzonych przez siebie postaci. Może najlepiej to widać w "Księdze śmiechu i zapomnienia", ale przecież już ta niezwykła, błyskawiczna kariera "Żartu" to nie tylko rezultat niewątpliwych zalet artystycznych powieści, lecz również rozpoznania przez publiczność ostrej jak lancet prawdy o miłości i upokorzeniu, radości i cierpieniu, której pisarz potrafił użyć do przeczepienia własnych doświadczeń i obserwacji w losy bohaterów jego książki.

Optymistycznie zapowiadająca się kariera młodego bohatera powieści-

ci, Ludwika Jahnna potyka się o niewinny w zamiarze żart, zrodzony z zazdrości o uczucia dziewczyny, której zbyt mało zdaje się doskwierać rozłąka z ukochanym, podczas radosnego budowania nowego jutra na dwutygodniowym szkoleniu partyjnym. Trzy żartobliwe zdania napisane do niej na kartce pocztowej urzędowe oko pozbawia całego intymnego i ukrytego, lecz prawdziwego znaczenia i Jahn staje się wrogiem ideologicznym - traci dziewczynę, miłość, studia i entuzjazm. I choć jego późniejsze życie układa się różnie, po jakimś czasie podejmie nawet pracę w instytucie naukowym, to nigdy nie przestanie mu towarzyszyć drwiący uśmiech losu, który jakby nie przestawał się bawić niewinnym żartem sprzed lat.

Milan Kundera jak mało kto potrafi prawa bezwzględnej, ogromnej historii uwięzić w małym świecie prywatnego życia poniewieranych przez nią jednostek ludzkich. Ludwik po przykrych konsekwencjach swojego żartu odbywa karną służbę wojskową i poznaje wtedy prostą dziewczynę Lucję, w której zakochuje się, ale nie potrafi strzec tego uczucia jak skarbu, którym jest ono w istocie w sytuacji jego wielkiej życiowej depresji. Totalitarne prawa wielkiego świata odbijają się w intymnym życiu bohaterów, tak jak cały kosmos odbić się może w małym odłamku stłuczonego lustra. Ludwik i Lucja nie potrafią w swej miłości znaleźć odtrutki na świat przemocy, który im obojgu skomplikował życie. Miłość młodego żołnierza kończy się jeszcze jednym fiaskiem. Porażką będzie też szczegółowo omysłana zemsta na człowieku, który zwichnął mu karierę. Ta nieudana zemsta to jeszcze jeden gorzki żart losu.

Kundera, chociaż wie, że są to stracone pozycje, solidarny jest z człowiekiem w jego małych sprawach: dobrych i złych, wzniosłych i podłych, solidarny jest z człowiekiem chociaż wie, że z historią i czasem musi on zawsze przegrać. Kundera nie zdradza swoich bohaterów nawet teraz, gdy zachodnia krytyka literacka bije mu brawo, zachwalając wspaniałe studium stalinizmu, jakiego dokonał w "Żarcie", upomina się o prawdziwe wartości, jakie reprezentują. W przedmowie do angielskiego wydania powieści nie potrafi już zdusić okrzyku protestu: "Oszczędźcie mi, proszę, swego stalinizmu. "Żart" to opowieść o miłości". Dla Kundery nie systemy polityczne są ważne, ale człowiek, do którego podchodzi z wielką tkliwością, choć nigdy nie oszczędza mu gorzkiej prawdy o nim samym. Cała reszta to tło, dekoracja, a że o jej realizm pisarz dba pieczołowicie, stąd bywa, że czytelnik "uwolniony" od obecności autora w analizie tekstu inaczej rozkłada akcenty. O właściwe akcenty w ocenie kultury środka Europy domaga się pisarz czeski w swojej eseistyce: "Jeśli nie umiesz patrzeć na sztukę, która dociera do ciebie z Pragi, Budapesztu lub Warszawy i naczaj, niż przy pomocy owego przeklętego politycznego kodu, zadajes jej śmierć /.../ Jesteś zupełnie niezdolny do usłyszenia jej prawdziwego głosu".

Siła tej sztuki nie polega bowiem na jej stosunku do polityki, lecz na intensywności społecznego i ludzkiego przeżycia, na tym, że daje światu nowe świadectwo o człowieku. W eseju "Zachód porwany..." Kundera dodaje: "Czym bowiem jest Europa dla Węgra, Czecha albo Polaka? Narody te od początku należały do części Europy zakorzenionej w rzymskim świecie chrześcijańskim. Uczestniczyły we wszystkich fazach jego historii. Dla nich słowo Europa nie oznacza zjawiska ze sfery geografii, lecz jest pojęciem duchowym /.../ Tożsamość narodu czy cywilizacji odbija się i streszcza w całości wytworów duchowych, którą zwykło nazywać się k u l t u r ą. /.../ Europa nie zauważyła zniknięcia swego wielkiego centrum kulturalnego, ponieważ nie odczuwa już swej jedności, jako jedności kulturalnej /.../ a ponieważ traci poczucie własnej tożsamości kulturalnej, to w Europie środkowej widzi jedynie jej ustrój polityczny."

Tak więc po dłuższej dygresji, świadczącej o lojalności Kundery wobec swojego bohatera, mieszańca małego kraju w środku naszego kontynentu, wypada powrócić do jego twórczości literackiej, bo i tu znajdziemy niemało na to przykładow.

Pisząc "Księżę śmiechu i zapomnienia" chciał czeski pisarz być już oazką blisko stworzonych przez siebie postaci. Sięga w tym celu po nowe rozwiązania formalne. Książka nie ma głównego bohatera. Do plejady postaci epizodycznych, częściowo fikcyjnych, częściowo wziętych z życia i historii, autor dodaje jeszcze jedną epizodyczną postać - samego siebie, Milana Kundere z strzępkami życiorysu, bez którego nie byłoby także fikcyjnych losów fikcyjnych bohaterów. Nie pojawia się on jednak w swej powieści na szczególnych prawach. Traktowany jest przez autora na równi z innymi. Pisarz szuka wspólnego mianownika dla losów wymyślonego bohatera Mirka czy Taminy, których przeżycia nic nie obchodzą autorów podręczników historii i prawdziwych postaci historycznych, które tę historię tworzyły, lecz które także zostały przez nią wyszydzone. Oto dwóch polityków w zimny, lutowy dzień pozdrawia radosny tłum wietuczających. Jeden z nich w pewnym momencie nakłada drugiemu na głowę swoją futrzaną czapkę. Zdjęcia dokumentujące ten akt braterstwa obiegają całą prasę. Kilka lat później właściciel czapki znika ze sceny politycznej, znika też z archiwalnych zdjęć. Oprócz pustego miejsca na fotografii historia pozostawia po nim tylko czapkę na głowie sąsiada. Okrutny bywa uśmiech dziejów, a książka Kundery pełna jest tego śmiechu, którego echo słychać w życiu każdego z bohaterów.

W najnowszej książce "Nieznosna lekkość istnienia" Kundera zmienia soczewkę w obiektywie swojego pisarskiego aparatu i ogniskową ustawia na losy trojga osób - Tomasza, Terezy i Sabiny. Tutaj oni budują własne radości, upadki i cierpienia. Historia znów cofa się do dekoracji lecz jednak od czasu do czasu przejeżdża na ciężkich gąsienicach przez prywatność bohaterów.

Jest to książka w gruncie rzeczy o lojalności wobec innych i odpowiedzialności za swoje czyny. Jest być może wyzwaniem rzuconym nowym czytelnikom pisarza. Rozpoczyna ją studium wolności, tak jak co raz częściej rozumiana jest ona we współczesnym świecie. Człowiek wolny to ten, który potrafi wybierać co dla niego dobre. Odpowiedzialność, lojalność to wybory zbyt uciążliwe, by mogły znaleźć się w słowniczku tak rozumianej wolności.

Nowa książka Kundery jest znowu ulubioną przez niego miłosną opowieścią. Tomasz kocha Terezę, ale nie chce by ta miłość odebrała mu osobistą wolność, którą sobie cenil, i której używał przed poznanie jej. Nie rezygnuje więc ze swych drobnych miłostek, wśród których najważniejsze miejsce zajmują niezobowiązujące do niego spotkania z Sabiną - ekscentryczną artystką, traktującą życie równie lekko jak Tomasz. Tereza kocha Tomasza uczciwie, bo jest on dla niej ucieczką z upokarzającego świata dzieciństwa i młodości, w którym jej matka mściła się na córce w poniżający sposób za własne niepowodzenia życiowe. Trudna jest miłość, którą wybiera Tereza - żąda od niej wiele pokory i poświęceń, włącznie z emigracją za zdradzającym ją mężem, po wydarzeniach 1968 roku. Cała trójka bohaterów znajduje się w Szwajcarii, gdzie nadal nie potrafi wypłatać się z pajączyny bólu, choć przecież źródłem owej "nieznosnej lekkości istnienia" była właśnie wolność wyboru tego, co lekkie i wygodne. Do wszystkich starych udręk wywiezionych z Czechosłowacji dołącza się jeszcze poczucie samotności, wyobcowania w nowym otoczeniu. Wreszcie Tereza, nie uprzedzając Tomasza, powraca do kraju. On początkowo zachłystuje się swą nową wolnością, lecz po jakimś czasie nieznosna lekkość daje i jemu poznać swoje jarzmo. Opuszcza Zurych, wraca do Terezy i gdy wydaje się, że tam na prowincji, gdzie postanowili przenieść się z Pragi,

życie ułoży się im już pomyślnie, oboje giną w wypadku samochodowym. Sabina pozostaje sama za granicą z poczuciem pustki i otępienia. Jeździ z kraju do kraju z wystawami swej sztuki i bagażem coraz cięższej lekkości istnienia. Jeśli jest ona dla powieści "sumieniem artystycznym" jak sugeruje to w recenzji Janet Malcolm /"The New York Review", 10.05.84/, to książka Kundery mimo dość realistycznie zarysowanej fabuły jest w gruncie rzeczy o wiele bardziej uniwersalną metaforą i próbuje się wpisać w sumienie kultury europejskiej.

Jest w powieści taka scena, kiedy Tereza stara się zainteresować jeden z ilustrowanych magazynów zuryjskich zdjęciami, które wykonała w Pradze, przed wyjazdem na Zachód, w 1968 roku. Szef pisma chwali fotogramy, ale odrzuca propozycję jako już nieaktualną. Za chwilę od innej reporterki przyjmuje do druku fotoreportaż o mudystach. Następnie pomiędzy autorkami obu kolekcji zdjęć wywiązuje się dialog, w którym Szwajcarka chwali Terezę za rzadką umiejętność patrzenia na świat przez obiektyw aparatu i doradza jej podjęcie pracy fotoreporterki, podsuwając jej już nawet temat - kaktusy. Swoje rady podbudowuje filozofią życiową, że tylko kobieta, dla której życiem jest praca, może być naprawdę niezależna i nowoczesna. Gdy Tereza stwierdza, że jej życiem jest mąż i nie zamierza tego burzyć dla jakichś tam kaktusów, Szwajcarka z pewnym współczuciem spostrzega, że ludzie w kraju Terezy widać nie wiedzą jeszcze na czym polega prawdziwa wolność.

Jak nietrudno zauważyć, w scenie tej powraca wątek, który pojawił się już w eseistyce Kundery. Mnie zaś rozmowa dwóch kobiet przywiodła na myśl to, co Catherine Belsey uznaje za wolność czytania literatury: "Śmierć autora, tego absolutu stojącego za tekstem, oznacza wyzwolenie...", a także to, w jaki sposób śmierć tę uzasadnia Foucault: "Era kapitalizmu burżuazyjnego wymagała pojęcia autora jako tego, który tekst literacki produkował, był jego właścicielem i uwierzytelniał go swoją osobą. Lecz nie zawsze tak było i nie ma potrzeby, aby było tak w przyszłości". To co Foucault nazywa jednak produktem kapitalizmu jest raczej osiągnięciem humanizmu i Oświecenia, a prawa autorskie, to tylko jedne z praw, takich jak wolność słowa, podróżowania i wyznania, powołanych do życia w trosce o jednostkę, jak słusznie w artykule o Kunderze podkreśla David Lodge.

O tę jednostkę troszczy się też w swych książkach mieszkający w Paryżu pisarz z Fragi. Choć czasem może się wydawać, że nie szczenił swym bohaterom drwiny i szyderstwa. We wszystkich jego książkach pobrzmiewa ten charakterystyczny, groteskowy ton czeskiej hudby. To w jej dętym rytmie dopełniają się największe nawet dramaty Kunderowskich postaci. Ale przecież sam pisarz też nie próbuje unikać śmieszności. Wiele w jego narracji zamierzonego kiozu i taniego sentymentalizmu. Wcale nie próbuje on odróżnić się od swoich bohaterów. Nie może być, zresztą, inaczej, skoro mówi pod koniec najnowszej powieści, że jego postaci to niespełnienie możliwości samego autora: "To dlatego właśnie tak samo je lubię i tak samo mnie przerażają. Każda z nich przekroczyła tę granicę, którą ja oszukałem. I to właśnie owa przekroczona granica /za nią kończy się moje własne "ja"/ pasjonuje mnie najbardziej. Bo za tą granicą jest już tajemnica, której domaga się powieść".

Lubię rozmawiać z Kunderą. Wiem, że od niego zawsze mogę spodziewać się uczciwości, kiedy zadaję mu pytanie, dlaczego postacie jego powieści walczą, choć nie mogą zwyciężyć, dlaczego próbują kształtować swój los, chociaż zewnętrzny świat, a ożęsto i oni sami, udajemy te starania szyderstwem i okrutnym żartem. Kundera nigdy nie udaje, że zna całą odpowiedź na to pytanie. Pozwala mi, abym razem z nim rozwiązywał tajemnice za przekroczoną granicą.

Szczepan Kalinus

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

ANATOMIA „GOSPODRAKI”

Na gospodarkę PRL patrzymy z trwogą i z nadzieją. Z jednej strony wszyscy chcielibyśmy uwolnić się od zmory kolejek, pustych półek i galopady cen, a z drugiej wierzymy, iż właśnie zaognione problemy gospodarcze znów będą krzesiwem, skąd posypią się kolejne iskry społecznego protestu. Jaki jest stan dzisiejszej gospodarki polskiej? Co jest przyczyną jej głębokiej zapaści? Uleczalna to choroba, czy jednak śmiertelna?

Mechanizm kryzysowy w „realsocjalizmie”

Nie ma tu sensu przypomnianie historii ZSRR, a potem pomniejszych państw bloku. Dość, że "realny socjalizm" zaistniał jako dyktatura mniejszości bezustannie drżącej o swą władzę i przez to skłonnej do opancerzania się środkami bezpieczeństwa i represji. Stąd panowanie nad gospodarką jest podstawowym - obok panowania nad wojskiem i policją - środkiem utrzymania władzy politycznej. Ale żebyż tylko to. Tak rozumiana gospodarka - odizolowana od rzeczywistych potrzeb społecznych, upaństwowiona a nie uspołeczniona - staje się terenem rozgrywki między poszczególnymi koteriami wśród rządzących, narzędnikiem umacniania wpływów i wywierania wzajemnych presji, drogą gospodarczych biurokratów do najwyższych stanowisk w państwie. W ten sposób zasadniczy wpływ na decyzje centralnego planisty mają nie owe potrzeby społeczne, ale interesy poszczególnych grup nacisku w aparacie gospodarczo-politycznym, z których oczywiście nadrzędne będą interesy grupy wojskowo-policyjnej. W okresie napięcia międzynarodowego i poczucia "osaczenia" komunizmu /okres przedwojenny w ZSRR, lata pięćdziesiąte, okres obecny/ te ostatnie będą oczywiście dominować. W okresach zelżenia napięcia i poprawy stosunków z kapitalistycznym otoczeniem do głosu w większym stopniu dochodzą interesy biurokratycznych grup kierujących poszczególnymi branżami przemysłowymi; gospodarka ma być dźwignią ich politycznych ambicji. Wielkie zakłady i kombinaty są środkiem nacisku, a czasem i szantażu w wewnątrzkomunistycznych rozgrywkach, szczyblem w politycznej karierze aparatczyków, nic dziwnego, że muszą być coraz większe i coraz obficie inwestowane.

W ten właśnie sposób naturalna dla socjalizmu a także dla wszelkich "państw opiekuńczych" kryzysotwórcza tendencja do dzielenia tego, co nie zostało w ogóle wyprodukowane, zostaje potężnie umocniona przez złowrogie skutki kosztownych, lecz nie przynoszących żadnych pożytków inwestycji. Droga ku katastrofie zostaje otwarta w grzmocie orkiestr, w bełkocie triumfalnych mów polityków i strof poetów sławiących "wielkie budowle socjalizmu". Żądoleni robotnicy miętoszący w kieszeniach zwitki nowiutkich banknotów wręczonych im z okazji przecięcia kolejnej wstęgi, nie przypuszczają nawet, że oto zaciągnięto pętlę na ich szyi.

Smok żera własny ogon

Inwestycje są niezbędne w każdym przedsiębiorstwie, które myśli o przyszłości, w każdej gospodarce w rozwoju. Każda inwestycja jest poniesionym dziś wyrzeczeniem w imię lepszego jutra. Nadmierne ograniczenie inwestycji, to "przejadanie przyszłości". Japonia w okresie swej najbujniejszej ekspansji gospodarczej podejmowała inwestycje przekraczające swym udziałem w dochodzie narodowym to, co przeznaczano na inwestycje w PRL w okresie gierkowskiej "dynamiki". I inwestycje te opłaciły się jej stokrotnie, była jedynym krajem Zachodu, który przeszedł bezpiecznie przez okres wstrząsów gospodarczych po kryzysie naftowym lat 70-tych. Ale były to inwestycje podejmowane z ekonomicznego wyrachowania, z myślą o zysku, eksporcie, umocnieniu handlowej pozycji inwestujących przedsiębiorstw. Jeśli inwestycje podejmowane są w interesie "kompleksu militarnego" albo dla umocnienia pozycji politycznej kierownictw resortów, branż i zakładów, wówczas przyniosą one gospodarce niewiele ponad otwarcie przepastnego worka na wydatki. Jeśli nawet któraś z obracających się w orbicie władzy koterii myśli o eksporcie, poprawie bytu ludności, prowadzi jakiś rachunek ekonomiczny, czyni to nieudolnie, a uwikłana w gabinetowe rozgrywki polityczne, oderwana od rzeczywistych sił społecznych musi poddać się ustalonym w "real socjalizmie" regułom gry. Inwestować się więc będzie w przemysł najcięższe, kapitałochłonne, wymagające olbrzymich środków, skupione w wielkich /największy na świecie! - ulubione zawołanie propagandy/ kompleksach lecz mało rentowne, ociężałe, wciąż dotowane. Miało to pewne pozytywne znaczenie w pierwszym okresie istnienia nowego ustroju, bo kraje, gdzie komuniści objęli władzę, były na ogół słabo uprzemysłowione. Choć oczywiście dzieła uprzemysłowienia można było dokonać drogą nie tak społecznie i gospodarczo kosztowną. Ma to znaczenie dla kompleksu militarnego, ale - jak powiadają myśliwi - epoka stali i stalówek skończyła się wraz ze śmiercią Stalina; teraz wojskowym przydałyby się komputery do sterowania rakiet, a tych w ów sposób się nie wytworzy. W efekcie kraje systemu komunistycznego produkuje w świecie w produkcji ropy, węgla, stali, w przemyśle metalurgicznym, w ciężkich gałęziach chemii, ale 67 lat po wystrzale "Aurory" wciąż wloką się beznadziejnie w ognie wytwórczości skomplikowanej, wymagającej inwencji, ludzkiej pomysłowości, technicznej i handlowej smykałki. Co więcej, powielanie "budów socjalizmu", preferencje dla wytwarzania stali i maszyn przed wytwarzaniem samochodów i lodówek, polityczne upodobanie do "wielkich zakładów" sprawia, że coraz większa część produkcji tych podstawowych lecz nadmiernie rozrośniętych dziedzin przemysłu jest zużywana dla ich własnych potrzeb; olbrzymia produkcja węgla zużywa olbrzymią ilość stali, to samo można powiedzieć o hutach wytapiających stal z coraz uboższych rud. Ciężkie maszyny potrzebne na kolejnych "wielkich budowach" też bez umiaru rozdymają zapotrzebowanie na stal. W ogóle samo zużycie energii, materiałów, części i surowców jest marnotrawne, bo pilnowane jedynie przez biurokratyczne rozdzielnictwo a nie przez mechanizmy rynku i konkurencji międzynarodowej. Tak więc każda inwestycja stwarza zapotrzebowanie na następną i jeszcze następną. Smok zaczyna żadać własny ogon, o czym ostatnio pisze się dość otwarcie w komunistycznej prasie nie tylko w PRL.

W ten sposób przyszłość zostaje zmarnotrawiona, nie mówiąc już o katastrofalnych skutkach ekologicznych i marnotrawstwie ludzkich nadziei. Tego rodzaju inwestycje przynoszą wzrost gospodarczy - i to pozorny - tylko dziś, bo stwarzają zapotrzebowanie na roboty budowlane i produkcję maszyn; ale w przyszłości nie spłacają społeczeń-

stwu nawet części poniesionych nakładów i wyrzeczeń. Wielka, pełna prawdziwych poświęceń i wyrzeczeń praca Polaków w hutach, stoczniach czy kopalniach została zmarnowana. Pokazuje to poniższa tabela.

Pięciolecie	/ średniorocznie /		
	wzrost doch.nar. wytworzonego	% doch.nar. przezn. na inwest.	wzrost płac realnych
1915-55	8,6	13	11 *
1956-60	6,5	14	5
1961-65	6,2	16	1
1966-70	6,0	19	2
1971-75	9,8	25	7
1976-80	1,2	24	2
1981-85 **	-1,0	15	-3

*/oszacowanie, brak dokładnych danych

**/prognoza, według dotychczasowego wykonania i założeń CER

Co to za rynek, gdzie nie ma szynek

Gospodarka socjalistyczna wciąż toczy swą daremną "bitwę o rynek", podczas gdy gospodarce kapitalistycznej rynek po prostu funkcjonuje. Puste półki, kolejki, regramentacje, a z nimi pożywka dla wszelkiej maści spekulantów, nie są jednak efektem czyjejs złej woli albo osobistej nieudolności ministra Krasińskiego, ale bezpośrednio wynikają z opisanego przed chwilą mechanizmu inwestycyjnego marnotrawstwa. Tak zwany "prosty człowiek" zżymający się na marny stan swego koszyka zakupów powinien zrozumieć, że jego codzienne bóle mają niestety polityczny rodowód. Jeśli chcemy cokolwiek pojąć z naszej dzisiejszej sytuacji i jeśli chcemy reagować na nią czymś więcej niż daremnym narzekaniem, musimy zacząć od rzetelnego pytania o przyczyny.

Nadmierne forsowanie przez państwo zbyt kosztownych i źle procentujących inwestycji prowadzi bowiem nie tylko do marnotrawstwa sił i środków, ale do szybkiego wzrostu pieniądza na rynku, bo na "froncie inwestycyjnym" trzeba zatrudniać coraz więcej ludzi i dobrze im płacić. Tymczasem ludzie ci nie wytwarzają żadnych dóbr, które mogą być albo wyeksportowane, albo sprzedane na rynku wewnętrznym. Ponieważ zatrudnieni są w "wielkich zakładach", które w tym ustroju stanowią polityczną siłę nacisku, trzeba im płacić więcej i zaopatrywać lepiej niż ludzi z zakładów małych wytwarzających jednak te użyteczne i zasilające rynek wewnętrzny produkty. Pół biedy, gdy - jak w czasach Edwarda Gierka - można było rynkową konsumpcję zasilać przedzjadaniem zagranicznych kredytów, widać to zresztą w tabeli, gdzie potężnym inwestycjom towarzyszył szybki wzrost realnej płacy. Ale kiedy ten - umożliwiający życie na kredyt - strumień "zielonych" wysycha? To również widać w tabeli. Jakikolwiek wzrost tak rozumianych i tak prowadzonych inwestycji automatycznie pogłębia trudności zaopatrzeniowe, ogołaca półki, wydłuża kolejki, niszczy siłę nabywczą pieniądza przynosząc wzamian za te wyrzeczenia bardzo niewiele lub prawie nic w przyszłości. Co gorsza, inwestycje zaspokajające polityczne ambicje gospodarczych koterii muszą prowadzić do coraz głębszej nierównowagi w takiej gospodarce, bo kierując siły i środki ku najcięższemu a rynkowo bezproduktywnym dziedzinom przemysłu /tak zwana "grupa A"/ działającą na niekorzyść tej jego części /tak zwana "grupa B"/, która produkuje bezpośrednio na rynek i może zapełnić półki, skrócić kolejki. Nawet jeśli kierownictwo państwowe jest już

zaalarmowane katastrofalnym stanem tej nierównowagi, nie potrafi wywikłać się z politycznych mechanizmów kierujących inwestycyjny bezsens, a za nim kryzys; przecież to kierownictwo nie jest niczym innym jak tworem tych właśnie mechanizmów i jak miałoby odciąć się od własnej pępownicy? Historia gospodarki "realnego socjalizmu" pełna jest takich prób podejmowanych pod presją dramatycznych okoliczności, lecz zawsze nieudanych. Dość wspomnieć "manewr gospodarczy" w okresie schyłkowego Gierka, bądź usiłowania ekipy Jaruzelskiego hucznie dekretowane na przeróżnych plenach, lecz nikłe w praktyce. Trzeba byłoby pewnego dnia przekreślić wszystkie ambicje i naciski koterii partyjnych, resortów gospodarczych, wojska itp., przynajmniej zdecydowany i konsekwentny priorytet temu, co daje się korzystnie sprzedać na krajowym lub zagranicznym rynku. Jedynym przykładem odwrócenia tych zgubnych tendencji w obrębie "real socjalizmu" są Węgry, gdzie z wielką ostrożnością i wśród politycznych tarć, ale jednak udaje się wprowadzać do socjalistycznej gospodarki coraz więcej zdrowych zasad rynkowych.

Dzieje antykryzysowej szamotaniny w PRL pokazują właśnie niemożność wywikłania się z tych fatalnych uwarunkowań w obrębie dzisiejszego systemu politycznego, dowodzą jak bardzo polityczne są korzenie naszych rynkowych trudności. Olbrzymie inwestycje okresu Gierka miały przynieść Polsce pomyślność w latach siedemdziesiątych przez zwiększenie produkcji na rynek i na eksport. Tymczasem udział eksportu w produkcji przemysłowej był w roku 1980 dokładnie taki sam, jak w 1970! Udział produkcji na rynek w całości produkcji nawet lekko spadł. A więc na tyle wzrosły nasze eksportowe możliwości, na ile wzrosła całość produkcji, w dalszym ciągu podstawą naszego eksportu pozostał węgiel, mięso i ciężkie wyroby stalowe. Pomimo publicznych obietnic polityków, poświęconych tej sprawie "plenumów", pomimo całego publicystycznego i sprawozdawczego hałasu, nie udało się zmienić fatalnych proporcji pomiędzy ową "grupą A" i "B", gospodarka pozostała polem politycznych rozgrywek i nacisków. Rynek wewnętrzny poprawił się tylko na tyle, na ile można go było sfinansować z kredytów; kredyty się skończyły - wszystko runęło. Wielka szansa lat siedemdziesiątych została w całości zmarnowana.

Podobnie za Jaruzelskiego. Już w latach 1980/81 dokonano przeglądu wszystkich prowadzonych inwestycji, znaczną ich część wstrzymując /niektóre wstrzymano jeszcze u schyłku rządów Gierka/. Taka antyinwestycyjna polityka miała być prowadzona nadal, pozwalając na skierowanie większych środków do produkcji rynkowej. Takie są też założenia realizowanego obecnie trzyletniego planu społeczno-gospodarczego na lata 1983/85 /NPSG/ oraz kolejnych planów rocznych /CPR/. Tymczasem efekty są inne, to znaczy takie same jak zawsze w "real socjalizmie". Pomimo wszelkich ograniczeń, poziom inwestycji wciąż przekracza założenia, a w samym tylko I półroczu 1984 wzrósł jeszcze o 15%, kiedy według CPR miał zmaleć o 5,7%! Mamy 63 tys. rozpoczętych budów a na każdą przypada średnio 20 pracowników; w tej sytuacji doprowadzenie czegokolwiek do końca odsuwa się chyba poza rok 2000. Projekt CPR na 1985 rok przewiduje wzrost nakładów na inwestycje centralne o dalszych 17%, zaś spadek nakładów na inwestycje przedsiębiorstw o 20%. W tych liczbach kryje się niesłychanie niebezpieczna tendencja, bowiem przy kryzysowym niedoborze środków pójdą one znowu na ukochane przez centralną biurokrację "wielkie budowy", zaś ograniczone zostaną jeszcze bardziej możliwości stworzone przez tę szczątkową reformę gospodarczą, jaka jeszcze w Polsce egzystuje. Pozwala ona bowiem na samodzielne inwestowanie przedsiębiorstw posiadającym wypracowane poprzez zysk środki. Przedsiębiorstwa, które muszą same się finansować, zainteresowane są w inwestycjach pomyślanych ekonomicznie, przynoszących szybki zysk, a więc

mogących choć częściowo zmienić fatalną strukturę gospodarki, poprawić rynkową równowagę. Tymczasem plan, który przecież jest instrumentem centralnej biurokracji, kładzie tamę tym nieśmiałym uzdrowieńczym tendencjom, gąszcz bezmyślnie do przywrócenia tych samych proporcji inwestycyjnych, które leżały u podstaw wszystkich poprzednich polskich katastrof. *)

W przepychance interesów grup i koterii centralnego aparatu najmniejsze szanse ma oczywiście rolnictwo, tym bardziej, że trudno tu szukać "wielkich zakładów", przez które aparatczycy zwykli wspinać się do centralnych foteli i które służą im jako środek politycznych naciągów. Toteż we wszystkich krajach "realsocjalizmu" rolnictwo stoi na ostatnim miejscu w kolejce do inwestycyjnych korzyści, a tolerowane jest tylko na tyle, aby ludzie nie przymierali głodem. Gdy zaczynają przymierać, centralna biurokracja budzi się jak zwykle po niewczasie, zwołuje posiedzenia, ogłasza programy, rzuca obietnice, po czym wszystko wraca do normy, bo przez rolnictwo nikt jeszcze nie wjechał do gabinetu I sekretarza. Jakże takie zaopatrzenie sklepów mięsnych w latach 70-tych oparte było na rosnącym imporcie zboża i pasz /kredyty! / przy postępującej degradacji własnego rolnictwa. Żenująca historia "ursusa" i "fergusona" /nie mówiąc już o produkcji innych maszyn rolniczych/ świadczy o tym, jak traktowane są inwestycje służące wsi. Preferencja dla "wielkich budów" i całej "grupy A" w przemyśle wyciskała ze wsi ludzi najzdolniejszych i najbardziej rzutkich wabiąc ich "awansem społecznym", będącym w istocie bezproduktywnym społecznie zajęciem przy marnotrawieniu węgla i stali. W konsekwencji produkcja mięsa w 1983 roku była o 20% /prawie 0,5 mln ton! / niższa niż w 1980 i dalej spadała. Skup mięsa w tym okresie spadł jeszcze bardziej, bo o 30% /w gospodarstwach uspołecznionych o 35%/; nic dziwnego, bo w okresie kryzysu rośnie "czarny rynek". Pogłowie zwierząt hodowlanych jest w 1984 roku znacznie niższe niż zakładał to plan 3-letni i całkowicie nierealne jest odrobienie zagległości, mimo że dobre zbiory tegoroczne dają nadzieję pewnej odbudowy pogłowia w 1985 roku. Podobnie nierealny jest już uchwalony w 1983 przez Sejm program rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej do 1990 roku. Warto zauważyć, że spadek pogłowia jest zdecydowanie wyższy w gospodarstwach uspołecznionych; można sobie wyobrazić, jak wyglądałby polski kryzys przy skolektywizowanym rolnictwie! Zresztą "cud z jajkiem" jaki wydarzył się w PRL po wstrzymaniu przez "brzydkiego Reagana" dostaw paszy dla polskich kur /wielkie farmy kurze stoją puste a jajka są, nawet cena ich spadła w porównaniu z 1982 rokiem! / zawdzięczamy wyłącznie indywidualnemu rolnictwu i drobnej ho-

*) Opisane tu tendencje dobrze ilustruje głośna ostatnio w polskich sferach gospodarczych tzw. "Lista 500" opublikowana przez miesięcznik "Zarządzanie". Przedstawia ona wyniki i dane finansowe 500 największych przedsiębiorstw PRL. Otóż zdecydowanie czołową pozycję pod względem zysku, a tym samym odprowadzonych do budżetu państwa podatków zajmuje wytwarzający alkohole "Polmos". Wywołało to gorzkie uwagi o "pijanym budżecie", ale ciekawe, że następną pod tym względem miejsce zajmują przedsiębiorstwa produkujące samochody i części do nich, rafinerie /benzyna!/, wytwórnie różnego rodzaju sprzętu domowego i wyposażenia mieszkań, przemysł mięsny, przemysł farmaceutyczny. Te przedsiębiorstwa utrzymujące państwo a jednocześnie wytwarzające przedmioty kupowane przez ludzi nie są jednak na czołowych pozycjach pod względem płac. Znajdują się tam zakłady przemysłu ciężkiego, mało zyskowne albo wręcz deficytowe, korzystające z wypracowanych przez tę poprzednią grupę nadwyżek, obciążające budżet, lecz uprzywilejowane płacowo.

dowli. W tej perspektywie coraz częściej dające się usłyszeć na naradach i w urzędowych dyskusjach wołanie o "potrzebie zmniejszenia nadmiernych dochodów wsi" brzmi jak kolejny akt ślepoty centralnej biurokracji partyjnej. Obawia się ona zmniejszenia kartkowych przydziałów mięsa /obecnie kartki nie mają pełnego pokrycia o czym świadczą mniej więcej od wiosny 1984 kolejki pod sklepami/, ale nie jest w stanie zrozumieć, że tylko otwarcie szeroko drzwi dla wszelkiego rodzaju produkcji i hodowli może poprawić katastrofalną sytuację. Obojętnie kto produkuje i skąd pochodzą środki. Jeśli radziecki kołchoz lub polski PGR jest dla tych ludzi wciąż przyszłościowym ideałem organizacji produkcji rolnej, to znaczy, że własnymi rękoma kopią sobie polityczny grób. Tylko, że niestety droga do tego grobu prowadzi przez pasma wstrząsów i nieszczęść, jakie dotkną nas wszystkich bez różnicy partyjnej przynależności.

Tak więc kryzys w "realnym socjalizmie" jest uwarunkowany politycznie i bez reszty wbudowany w polityczny mechanizm tego ustroju. Różni się on zdecydowanie od kryzysu kapitalistycznego, który jest kryzysem nadprodukcji. Kryzys gospodarczy "realsocjalizmu" wynika ze stałego odbierania środków produkcji działom gospodarki przez nadmiernie rozdęty, nieefektywnie prowadzony front inwestycyjny przemysłu ciężkiego. Uwolnienie się od tego kryzysu możliwe jest tylko poprzez złamanie siłą lub zreformowanie systemu politycznego "realnego socjalizmu". Stąd odpowiedź na polskie problemy dana 13 grudnia 1981 nie jest żadną odpowiedzią ani żadnym rozwiązaniem. Problemy postawione w Polsce stoją nadal z całą ostrością przed kierownictwem radzieckim i przed kierownictwami innych "bratnich państw".

„Stracone pokolenie”, czyli pytanie o perspektywę

Popatrzymy jak przedstawia się dynamika dochodu narodowego wytwarzanego w PRL w ostatnich latach:

lata	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979	1980	1981
przyrost %	10,8	10	9	7	5	3	-2	-4	-13
lata	1982	1983	1984	1985					
przyrost %	-8	5,8	2,6	3,2					

/dwa ostatnie lata podano według założeń CPR/

Tak więc po rekordowym roku 1973 sławetna gierkowska "dynamika" słaźła z roku na rok, a pierwszym znakiem załamania, a więc spadku dochodu narodowego /rzecz bez precedensu w historii "realsocjalizmu"/ był rok 1979. Tak więc upadek wywołany był innymi niż powstanie "Solidarności" przyczynami i wcale nie strajki - jak chce propaganda - spowodowały polską gospodarkę na dno. W 1980 i podobnie w 1981 roku wskutek strajków stracono w przeliczeniu na jednego zatrudnionego niespełna 5 roboczogodzin, co stanowi 0,2% całkowitego czasu pracy. Dla porównania, na skutek zwolnień chorobowych stracono w tych - "strajkowych" rzekomo - latach odpowiednio 137 i 141 godzin, co stanowi ponad 6% czasu pracy. Załamanie nastąpiło na skutek narastających trudności płatniczych wywołanych przez omówioną poprzednio "inwestycyjną chorobę". Pod koniec lat siedemdziesiątych nawet wszystkie możliwe do uzyskania kredyty nie starczyły na wywiązanie się z

zagranicznych płatności, kontynuowanie rozpoczętych inwestycji i utrzymanie dorywczo wysokiego poziomu życia w tej wyjątkowo marnotrawnej gospodarce. Trzeba było już w 1978/9 roku drastycznie ograniczyć import zaopatrzeniowy z Zachodu, co w gospodarce od lat nastawionej na sprowadzanie maszyn, podzespołów, części zamiennych, a nawet surowców z tego kierunku musiało doprowadzić do szybkiego spadku produkcji. Te same przyczyny drastycznie pogłębiły katastrofę w 1980, a zwłaszcza 1981 roku; w tym tylko ostatnim import zaopatrzeniowy z Zachodu spadł o 40%! Walka o wolne soboty nie miała tu żadnego znaczenia, bo i tak fabryki z braku części lub surowców musiały stać lub pracować na jałowym biegu dłużej niż średnio przez jeden dzień w tygodniu. Spadek nie został też powstrzymany przez samo wprowadzenie stanu wojennego.

Gospodarka polska nastawiła się na współpracę z Zachodem, instalowała w fabrykach zachodnie maszyny, stosowała zachodnie technologie nie tylko w czasach Edwarda Gierka, ale praktycznie przez całe ostatnie 30 lat. W tej sytuacji odcięcie jej od dostaw z Zachodu, reorientacja jej zaopatrzenia na Wschód nie rozwiąże jej trudności, nie uruchomi nieczynnych mocy produkcyjnych, nie przywróci dynamiki. Wschód nie dysponuje potrzebnymi częściami, podzespołami i technologiami, a nawet surowcami; jeśli już ma coś, co dorównuje standartom zachodnim, żąda rozliczeń w "twardych" dewizach. Wschodnia reorientacja może tylko ustabilizować polską gospodarkę na niskim poziomie przy niewykorzystaniu wielu najnowocześniejszych i najkosztowniejszych instalacji zbudowanych w czasach gierkowski. Tak też się dzieje. Dodatni bilans handlowy z krajami kapitalistycznymi uzyskany przez forsowanie eksportu węgla przy drastycznym obcinaniu wszelkiego importu i zastępowaniu go - gdzie się da - importem ze Wschodu, nie wystarcza nawet na spłatę odsetek od dolarowego zadłużenia. Ceną za ten dodatni bilans są nieczynne fabryki, zatrzymane maszyny i rosnące zadłużenie w ZSRR, które w połowie 1984 roku wyniesie 4,5 mld. rubli przy łącznym długu na Zachodzie 26,6 mld. dolarów. Gdyby nagle zawarto umowę z "Klubem Paryskim" /skupiającym państwa-wierzycieli PRL/ wymagającą jakichkolwiek spłat, oznaczałoby to katastrofę. Polska tej przeważającej części zadłużenia po prostu nie spłaca mając tylko umowy prolongacyjne z bankami prywatnymi, wymagające spłaty części odsetek. Państwa zachodnie milcząco godzą się na taką sytuację będącą pośrednim finansowaniem Polski, jednak ich powściągliwość /zwłaszcza USA/ w reakcji na amnestię świadczy, że worek z dolarami nie będzie otwarty za darmo. Zresztą przestałmy traktować Zachód jak dobrego wujka, a Reagana jak przyjaciela Polaków. USA ma w tej części świata swoje interesy, które są w obecnej sytuacji przede wszystkim antyradzieckie i nie muszą być zbieżne z interesami Polaków. Skoro już zmarnowano tu miliardy dolarów, to można przypuszczać, że Zachód /a zwłaszcza jego amerykańskie przywództwo/ będzie chciało wymóc takie zmiany i reformy polityczne w Polsce, które by prowadziły do erozji "realsocjalizmu" i radzieckiego bloku; byłoby to dla nas korzystne, ale czy możliwe?

Tak więc cena jaką rząd PRL mógłby zapłacić za ponowne uchylenie dolarowego kurka może być tylko polityczna, zresztą innej waluty ci panowie nie posiadają. Oczywiście wymagałoby to zgody a przynajmniej przyknięcia oczu przez Moskwę. Że przetarg taki brany jest przez naszych władców poważnie pod uwagę świadczy właśnie amnestia, wprawdzie niekonsekwentna, ale wyjątkowo dla komunistów niekorzystna, bo system ten nigdy nie wypuszczał swoich zaciętych przeciwników, póki nie została rozbita lub zniewolona ich baza społeczna. Amnestia nie stanowi jednak nawet pierwszego kroku ku procesowi pożądanym przemian, tworzy dopiero sytuację, w której kroki takie stają się możliwe. Czy zaistnieją? Sądzę, że ani Kreml, ani Belweder nie mają jesz-

cze koncepcji w tym względzie, prócz lęku przed jutrem i narastającego przekonania, że jednak 13 grudnia niczego nie rozwiązał. W tej sytuacji wiele będzie zależało od nas samych, od tego, czy potrafimy podjąć skuteczną walkę i wyrzucić presję w nowych warunkach i na nowych polach; na przykład starać się skutecznie o uzyskanie pluralizmu związkowego, opanowanie samorządów, utworzenie nowych organizacji społecznych. Czy potrafimy sami popchnąć naszych niezdeterminowanych kontrpartnerów do nowych rozwiązań? Pozostawanie w pozycji w zaułku demonstracyjno-kombatanckim byłoby całkiem wygodne dla władz. Ale to już oczywiście temat dla osobnych i bardzo ważnych dziś dyskusji. Wiadomości o wstępnym porozumieniu w sprawie utworzenia kościelnej fundacji pomocy rolnictwu, jakie nadeszły w trakcie pisania tego tekstu, są jeszcze jednym dowodem, że ta władza - acz wolno i niechętnie - idzie jednak na ustępstwa polityczne właśnie pod presją ekonomiczną. Jeśli tak się stanie, bardzo ograniczona dziś reforma gospodarcza zaczęłaby przynosić lepsze skutki, choć i tak działłoby się to zapewne jeszcze wolniej niż na Węgrzech, gdzie reformę wprowadzono w okresie ogólnoswiatowej koniunktury ekonomicznej. Jak na razie - choć dała przedsiębiorstwom pewne uprawnienia - w niczym nie naruszyła krępującego gospodarkę gorsetu centralnej biurokracji partyjnej, nie osłabiła nawet tych wszystkich fatalnych mechanizmów kryzysowych, o których była mowa przedtem. Dla mnie dowodem skuteczności reformy byłby spadek zatrudnienia i pojawienie się przejściowych trudności ze znalezieniem pracy; jak na razie, występuje zjawisko odwrotne, typowe dla "real socjalistycznego" marnotrawstwa. Tylko wówczas można będzie w Polsce zacząć rozmowę o gospodarce, nie zaś o tytułowej gospodarce.

Jeśli to nastąpi, utrzymają się tendencje widoczne w ostatniej tabeli dla okresu po grudniu 1981. Tak więc gospodarka ustabilizuje się na niskim poziomie, w stanie przewlekłego kryzysu ze wszystkimi inwestycyjnymi schorzeniami o politycznym rodowodzie, przy niewykorzystaniu mocy produkcyjnych, marniej jakości, rozдутym zatrudnieniu, wysokich kosztach i cenach, niskiej dynamice wzrostu. Ta ostatnia niższa będzie nawet niż w stagnacyjnych dla Polski latach sześćdziesiątych. Rok 1983 przyniósł wysoką w tych warunkach, wyższą niż przewidywano tendencję wzrostową dochodu narodowego. Ale w poprzednich latach gospodarka zeszła już na takie dno, że stosunkowo łatwo jest osiągnąć kilkuprocentowy wzrost przy minimalnej nawet stabilizacji. Ale ta tendencja skąbnie, jeśli wziąć pod uwagę zarówno założenia planowe na lata 1984/85, jak i osiągnięte wyniki pierwszego półrocza 1984. Widać to w tabeli i niczego lepszego w przyszłości spodziewać się nie należy. W efekcie najwyższy w historii PRL poziom dochodu narodowego osiągnięty w 1978 roku może zostać przywrócony dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych! A może nawet i pod koniec stulecia, bo wchodzi my właśnie w bardzo niebezpieczny okres zużywania się maszyn zakupionych na Zachodzie w okresie kredytowej obfitości. Oznacza to już nie tylko brak części i podzespołów, ale techniczną śmierć całych fabryk i wydziałów produkcyjnych. Dotąd korzystano z resztek zapasów, albo demontowano jedną maszynę aby uzyskanymi elementami utrzymać w ruchu dwie pozostałe. Proceder taki - powszechny w bardzo wielu zakładach - ma jednak swój kres, któremu zapobiec może tylko uzyskanie zachodniej pomocy, a ta obwarowana jest warunkami politycznymi.

Co oznacza perspektywa 15-20 letniego opóźnienia rozwoju kraju i tak zacofanego, w którym jednak ambicje i potrzeby rozbudzone zostały na miarę wyścigu ze światową czołówką? Przecież poziom z 1978 roku - jaki może społeczeństwu zaoferować polski "real socjalizm" jako perspektywę roku 1995 czy nawet 2000 - jest i tak niezadawalający, a w swoim czasie uważany był tylko za przejściowy. Oznacza to po

prostą pozbawienie przynajmniej jednego pokolenia wszelkich atrakcyjnych perspektyw cywilizacyjnych we własnym kraju; zarówno konsumpcyjnych, jak i rozwojowych związanych z ciekawą i ambitną pracą. Jest to - wobec postępu jaki w tym czasie dokona się w świecie - perspektywa sprowadzenia Polski do poziomu "III świata" i to w środku Europy, wobec wszelkich /obojętne czy uzasadnionych/ europejskich aspiracji tego społeczeństwa. To właśnie oferuje "real socjalizm" wchodzącemu dziś w życie pokoleniu Polaków, dla których jedyną szansą przeżycia czegoś atrakcyjnego jest emigracja, społeczny margines lub... walka. Tak właśnie. "Stracone pokolenie" dzisiejszych dwudziestolatków, którym zabrano wszystko oferując w zamian tylko groźbę ZOMO-wskiej pały będzie najstraszniejszą i najbardziej bezwzględną siłą rozsadzającą ten system od wewnątrz. Trudno dziś przewidywać jakich to "po-solidarnościowe" pokolenie wykreuje przywódców, za jakimi opowie się wartościami, jakimi ideałami, jakimi metodami walki. Dwie rzeczy są pewne. Po pierwsze, że nie będzie to powtórzenie "Solidarności". Po drugie, że nie było jeszcze w historii kraju, w którym takie "stracone pokolenie" bez perspektyw i z głębokim poczuciem pokrzywdzenia okazało się siłą stabilizującą. Sądzę, że rządzący o tym wiedzą, ale nie są w stanie przeciwstawić niczego sensownego tej najstraszniejszej dla nich groźbie. Pozostaje lęk przed przyszłością i doraźne środki zaradcze.

W tym wariancie możemy sobie oczywiście darować mówienie serio o reformie, choć pozostaną może reformatorskie frazesy. Otwiera się za to pole dla Mściwej konfrontacji eksponentów partyjnej biurokracji. Zeżrą oni pozostałe jeszcze resztki reformy, tak jak już zżerają i w nadchodzących miesiącach będą musieli zeżreć do końca wspomnianą wcześniej inwestycyjną swobodę przedsiębiorstw. Dotychczasowe mechanizmy reformy pozwoliły na zgromadzenie na ten cel już biliona złotych w dyspozycji dyrekcji i samorządów, a nie centralnego planisty; tymczasem pokrycie w realnych możliwościach jest dla mniej więcej połowy tych środków.

Trwóżne polskie pytanie "kiedy to rąbnie?" nie może znaleźć właściwej odpowiedzi nie tylko ze względu na niemocność przewidzenia reakcji mas. Także dlatego, że weszliśmy w zupełnie nowy, nieznaną i nie mający precedensów, bardzo mroczny okres historii. Chodzi nie tylko o to, że naszym wojskowym jedno rzeczywiście się udało: obniżenie poziomu aspiracji ludzkich. Jest to także podwyższenie progu prowokacji, po przekroczeniu którego ludzie skłonni są wyjść na ulicę lub zacząć strajk. Dawniej na pewno "coś by się zaczęło" po takich podwyżkach cen, jak te z wiosny 1982, czy z początku bieżącego roku. Dziś tylko głucha niechęć: Polak wytrzyma! Nadchodzące lata będą okresem wyjątkowo marnych warunków bytu: po kolejnym roku urodzaju Plan Roczny na rok 1985 proponuje stabilizację płac realnych /co dla wielu grup ludności oznacza ich spadek/ oraz wzrost dostaw żywności - nie mięsa - na rynek o 1%, co będzie faktycznie niezauważalne. Tymczasem okres od 1980 roku przyniósł Polsce wzrostowe fluktuacje malejącego dotąd współczynnika śmiertelności niemowląt oraz zdecydowanie - to aż o 4 lata - obniżenie średniego czasu trwania życia mężczyzn. A to są bezlitosne mierniki jakości społecznego i materialnego bytu. Chodzi bowiem naprawdę o to, że wszystkie poprzednie polskie fluktuacje kryzysowe i towarzyszące im dramaty społeczne odbywały się w okresie mniej więcej stałego wzrostu gospodarczego, poprawy /choć nierównomierniej i powolnej/ warunków życia, w okresie jakiejś nadziei na lepszą przyszłość. Teraz weszliśmy w okres upadku. Weszliśmy w okres w którym nie istnieje na tej płaszczyźnie ani zachęcająca perspektywa, ani wiarygodna nadzieja, w którym może być tylko gorzej, a w najlepszym razie tak samo. W społeczeństwie, które nauczyło się postawy roszczeniowej, które wciąż wierzy, że "władza da",

a jednocześnie tej władzy nienawidzi, wróży to okres równie burzliwy, co nieprzewidywalny.

Polskie dramaty wyznaczone dotąd datami 1956, 1968, 1970, 1976, 1980/81 mogą odąd toczyć się w zupełnie nowym cyklu i układzie.

Krzysztof Jerzewski



Cenzura polska nie pozwoliła, by granice naszego kraju przekroczyła polska edycja "L'Osservatore Romano", w którym zamieszczono "Instrukcję o niektórych aspektach "teologii wyzwolenia"".

Dokument ten jest zasadniczo analizą sytuacji Kościoła w krajach latyno-amerykańskich. Niemniej jako wywód analityczny zawiera poglądy uniwersalne.

Poniżej publikujemy fragmenty, które uznaliśmy za najistotniejsze i w najbardziej nas interesujący sposób prezentujące uniwersalność analizy i jej przydatność dla oceny sytuacji w PRL. Sądzimy, że w ciągu najbliższych pięciu lat nasz drogi Episkopat dokona cudu operatywności i opublikuje Instrukcję bez skrótów.

Instrukcja o niektórych aspektach „teologii wyzwolenia”

Wprowadzenie

Wyzwolenie jest przede wszystkim i w pierwszym rzędzie wyzwoleniem z podstawowego zniwolenia grzechem. Jej celem i kresem jest wolność dzieci Bożych, będąca darem łaski. Jej następstwem logicznym jest wezwanie do wyzwolenia z różnych zniwoleń w dziedzinie kulturalnej, ekonomicznej, społecznej i politycznej, które ostatecznie wywodzą się z grzechu, a które równocześnie stanowią przeszkody utrudniające ludziom życie zgodne z ich godnością. Wyraźne rozróżnienie tego, co ma charakter podstawowy, oraz tego, co należy do konsekwencji, stanowi warunek niezbędny refleksji teologicznej nad wyzwoleniem...

Cel niniejszej instrukcji jest bardziej szczegółowy i bardziej ograniczony: zamierza zwrócić uwagę pasterzy, teologów i wszystkich wiernych na szkodliwe dla wiary i życia chrześcijańskiego dewiacje i ryzyko dewiacji, jakie niosą z sobą niektóre formy teologii wyzwolenia, uciekające się w sposób niewystarczająco krytyczny do pojęć zapożyczonych z różnych kierunków myśli marksistowskiej...

Bardziej niż kiedykolwiek trzeba, by chrześcijanie, których wiara jest dojrzała i którzy są zdecydowani żyć w pełni po chrześcijańsku, licznie angażowali się, z miłości dla swoich braci wydziedziczonych, gnębionych lub prześladowanych, w walkę o sprawiedliwość, o wolność i ludzką godność. Bardziej niż kiedykolwiek Kościół zamierza potępić nadużycia niesprawiedliwości, wykroczenia przeciw wolności, gdziekolwiek miałyby miejsce i niezależnie od tego, kto byłby ich autorem, a także walczyć, przy użyciu środków sobie właściwych, w obronie i o promocję praw człowieka, szczególnie ludzi ubogich.

Dążenie

1. Potężne i niemal niepohamowane dążenie ludów do wyzwolenia stanowi jeden z podstawowych znaków czasu, jakie Kościół winien badać i tłumaczyć w świetle Ewangelii. To doniosłe zjawisko naszej epoki posiada wymiar uniwersalny, ale ujawnia się w formach i stopniach zróżnicowanych w zależności od narodu. Owe dążenie jest wyraźnie widoczne przede wszystkim wśród ludów znających ciężar nędzy i w łonie warstw wydziedziczonych.

2. To dążenie daje wyraz autentycznemu, chociaż niejasnemu, zrozumieniu godności osoby, stworzonej "na obraz i podobieństwo Boże" /Rdz 1, 26-27/, wyszydzonej i wystawionej na wzgardę przez wielorakie formy ucisku typu kulturowego, politycznego, rasowego, społecznego i ekonomicznego, często występujące łącznie.

3. Ewangelia objawiając ludziom ich powołanie dzieci Bożych, wzbudziła w ich sercach potrzebę i pozytywną wolę życia w braterstwie, sprawiedliwości i pokoju, w którym każdy spotkałby się z szacunkiem i mógłby znaleźć warunki do swego rozwoju duchowego i materialnego. Ta potrzeba jest niewątpliwie źródłem dążenia, o którym wszyscy mówimy.

Przejawy tego dążenia

1. Dążenie do sprawiedliwości i faktyczne uznanie godności każdej istoty ludzkiej winno być, jak każde głębokie dążenie, wyjaśnione i ukierunkowane.

2. W istocie rozpoznanie powinno dotyczyć form teoretycznych i praktycznych tego dążenia. Faktycznie bowiem liczne są ruchy polityczne i społeczne uważające się za autentycznych rzeczników roszczeń podnoszonych przez ubogich i sądzące, że są w stanie, nawet uciekając się do przemocy, dokonać radykalnych zmian, które położą kres uciskowi i nędzy ludzkiej.

3. Tym sposobem dążenie do sprawiedliwości często bywa opanowywane przez ideologie, które ukrywają lub fałszują jego sens, proponując walce narodów o wyzwolenie cele sprzeczne z prawdziwym celem życia ludzkiego i typy działania, suponujące systematyczne uciekanie się do przemocy, sprzeczne z etyką domagającą się poszanowania dla osób.

Głos Urzędu Nauczycielskiego

1. Chcąc odpowiedzieć na wyzwanie rzucone naszej epoce przez ucisk i głód, Urząd Nauczycielski Kościoła wielokrotnie, starając się uwrażliwić sumienia chrześcijańskie na potrzebę sprawiedliwości, odpowiedzialności społecznej i solidarności z ubogimi i uciskanymi, przypominał aktualność i nagły charakter nauki i nakazów zawartych w Objawieniu.

4. Ojciec Święty wielokrotnie podkreślał te tematy, zwłaszcza w encyklikach *Redemptor hominis*, *Dives in misericordia* i *Laborem exercens*. Liczne wystąpienia, przypominając naukę o prawach człowieka, poruszają bezpośrednio problemy wyzwolenia osoby ludzkiej z różnych rodzajów ucisku, których jest ofiarą. Trzeba szczególnie w tym względzie przypominać przemówienie wygłoszone wobec XXXVI Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, 2 października 1979. 28 st cznia tego samego roku Jan Paweł II, otwierając III konferencję CELIAM w Puebla, przypomniał, że pełna prawda o człowieku jest podstawą prawdziwego wyzwolenia. Tekst ten stanowi dokument źródłowy dla teologii wyzwolenia.

8. Kontynuując myśl Pawła VI, który podkreślał specyfikę orędzia Ewangelii, specyfikę związaną z jego bosim pochodzeniem, Jan Pa-

weł II w swym przemówieniu w Puebla przypomniał, jakie są trzy filary, na których opiera się cała teologia autentycznego wyzwolenia: prawda o Jezusie Chrystusie, prawda o Kościele, prawda o człowieku.

Analiza marksistowska

1. Niecierpliwość i dążenie do efektywności doprowadziły niektórych chrześcijan, rozczarowanych każdą inną metodą, do zwrócenia się ku temu, co nazywają "analizą marksistowską".

4. Jednak termin "naukowy" powoduje niemal mityczną fascynację, a bynajmniej nie wszystko, co nosi etykietkę "naukowości", posiada taki charakter. To dlatego zapożyczenie metody podchodzenia do rzeczywistości winno być poprzedzone krytyczną analizą typu epistemologicznego. Tej wstępnej analizy krytycznej brakuje w niejednej "teologii wyzwolenia".

5. W naukach humanistycznych i społecznych trzeba przede wszystkim zwracać uwagę na wielość metod i punktów widzenia, ukazujących tylko jedną stronę rzeczywistości, która z uwagi na swoją złożoność nie może być wyjaśniona w sposób jednolity i jednoznaczny.

6. W przypadku marksizmu, w znaczeniu, jakie tu zamierza się stosować, wstępna krytyka jest tym bardziej konieczna, że myśl Marksa jest totalizującą koncepcją świata, w której liczne dane, pochodzące z obserwacji i analizy opisowej, integruje się w strukturze filozoficzno-ideologicznej, decydującej o znaczeniu i wadze przypisywanej owym danym. Ideologiczne a priori stanowią zasady odczytywania rzeczywistości społecznej. Z tego względu rozdzielenie heterogenicznych elementów, tworzących tę mieszaninę epistemologicznie niespójną, jest do tego stopnia niemożliwe, że nawet kiedy się sądzi, że się przyjmuje tylko to, co jest przedstawione jako analiza, dochodzi do równoczesnego przyjęcia ideologii. Dla tych powodów nierzadko te aspekty ideologiczne przeważają w zapożyczeniach od autorów marksistowskich, widocznych u wielu "teologów wyzwolenia".

7. Ostrzeżenie Pawła VI pozostaje dzisiaj w pełni aktualne: w marksizmie, takim, jaki wprowadzony jest w życie, można wyodrębnić różne aspekty i problemy, które podsuwa się refleksji i działaniu chrześcijan. Jednak "byłoby rzeczą iluzoryczną i niebezpieczną zapominać o bardzo ścisłej więzi, jaka je z sobą łączy, czy też przyjmować poszczególne elementy analizy marksistowskiej z pominięciem ich związku z ideologią; włączyć się w walkę klas w jej marksistowskiej interpretacji, nie dostrzegając, że taka metoda prowadzi do społeczeństwa opartego na przemocy i do ustroju totalitarnego" /Paweł VI, Octogesima adveniens, n.34/

8. Jest rzeczą prawdziwą, iż od początku, a w ostatnich latach w sposób jeszcze bardziej dobitny, myśl marksistowska uległa zróżnicowaniu, prowadząc do powstania wielu kierunków, znacznie się od siebie różniących. O tyle, o ile nadal mają one charakter marksistowski, kierunki te wciąż nawiązują do pewnych tez podstawowych, nie dających się pogodzić z chrześcijańską koncepcją człowieka i społeczeństwa. W tym kontekście niektóre sformułowania nie są neutralne, lecz zachowują znaczenie, jakie uzyskały w pierwotnej doktrynie marksistowskiej. Tak ma się rzecz z "walką klas". Wyrażenie to nadal jest nacechowane tą interpretacją, jaką mu nadał Marks i nie może w związku z tym być uważane za równoważnik empirycznie pojmanego wyrażenia "ostry konflikt społeczny". Ci, którzy posługują się podobnymi sformułowaniami, sądząc, że zatrzymują tylko niektóre elementy analizy marksistowskiej, którą jednak w całości odrzucają, podtrzymują w umysłach swych czytelników przynajmniej poważną wieloznaczność.

9. Przypomnijmy, że ateizm i negacja osoby ludzkiej, jej wolności i jej praw, znajduje się w centrum koncepcji marksistowskiej. Posia-

da więc ona błędy zagrażające bezpośrednio wierze w wieczne powołanie osoby. Ponadto, odcień włączyć do teologii "analizę", której kryteria interpretacyjne zależą od koncepcji ateistycznej, to popaść w zgubne sprzeczności. Z drugiej strony, nieuznanie duchowej natury osoby prowadzi do oalkowitego podporządkowania jej kolektywowi, a tym samym do zanegowania zasad życia społecznego i polityki odpowiadającej godności człowieka.

13. Pierwszym warunkiem analizy jest całkowita otwartość na rzeczywistość, którą zamierza się opisać. Dlatego przyjętymi hipotezami roboczymi należy posługiwać się w sposób krytyczny. Trzeba wiedzieć, że odpowiadają one partykularnemu punktowi widzenia, czego nieuniknionym następstwem jest jednostronne podkreślanie pewnych aspektów rzeczywistości, przy zupełnym pominięciu innych. To ograniczenie, wpływające z charakteru nauk społecznych, bywa ignorowane przez tych, którzy, zamiast do hipotez uważanych za takie, odwołują się do koncepcji totalizującej, jaką jest myśl Marksa.

Wypaczenie sensu prawdy i przemoc

2. W logice myśli marksistowskiej "Analiza" nie da się oddzielić od praktyki i od koncepcji historii, z którą owa praxis jest związana. W ten sposób analiza jest narzędziem krytyki, a krytyka nie jest niczym innym, jak tylko etapem w walce rewolucyjnej. Walka ta jest walką klasy proletariatu, wyposażonego w swoją historyczną misję.

3. W konsekwencji ten, kto bierze udział w tej walce, może prowadzić poprawną analizę.

4. W konsekwencji, prawdziwa świadomość to świadomość partyjna. Widać więc, że wchodzi tu w grę sama koncepcja prawdy i że jest ona zupełnie wypaczona: uważa się, że prawda istnieje tylko w partyjnej praxis.

5. Praxis i wynikająca z niej prawda to praxis i prawda partyjna, gdyż fundamentalna struktura historii naznaczona jest walką klas. Istnieje więc obiektywna konieczność wzięcia udziału w walce klas /będącej dialektycznym przeciwieństwem stosunków wyzysku, które się pięnuje/. Prawda jest prawdą klasy - nie ma prawdy poza walką klasy rewolucyjnej.

6. Fundamentalne prawo historii, jakim jest prawo walki klas, implikuje, że społeczeństwo oparte jest na przemocy. Na przemoc, polegającą na panowaniu bogatych nad ubogimi, trzeba odpowiedzieć kontrprzemocą rewolucyjną, dzięki której ten stosunek zostanie odwrócony.

7. Walka klas jest tym samym traktowana jako prawo obiektywne, konieczne. Biorąc udział w tym procesie po stronie uciskanych, "tworzy" się prawdę, działa się "naukowo". W konsekwencji, koncepcja prawdy idzie w parze z afirmacją koniecznej przemocy, a tym samym z afirmacją amoralizmu politycznego. W tych perspektywach, odwoływanie się do wymogów etycznych, żądających radykalnych i odważnych reform strukturalnych i instytucjonalnych, traci wszelki sens.

8. Fundamentalne prawo walki klas posiada charakter globalny i uniwersalny. Odbija się na wszystkich sferach życia: religijnych, etycznych, kulturalnych i instytucjonalnych. W stosunku do tego prawa żadna z tych sfer nie ma charakteru autonomicznego. W każdej z nich to prawo stanowi czynnik determinujący.

9. Na skutek zależności od tych tez marksistowskich w sposób szczególny została zakwestionowana sama natura etyki. Faktycznie transcendentálny charakter rozróżnienia między dobrem a złem, będący zasadą moralności, w optyce walki klas implicate został zanegowany.

Wskazania

1. Ostrzeżenia przeciw poważnym wypaczeniom, których głosicielami są niektóre "teologie wyzwolenia", bynajmniej nie należy interpretować jako aprobaty, nawet pośredniej, udzielanej tym, którzy przyczyniają się do utrzymania nędzy ludów, tym, którzy z niej korzystają, tym, którzy biorą w niej udział lub tym, którzy pozostają wobec niej obojętni. Kościół, kierując się Ewangelią Miłosierdzia i z uwagi na miłość do człowieka, wsłuchuje się w wołanie o sprawiedliwość i ze wszystkich szych sił chce na nie odpowiedzieć.

2. Kościół staje tym samym przed poważnym wezwaniem. Śmiało i odważnie, dalekowzrocznie i roztropnie, żarliwie i z mocą ducha, z miłością ubogich dochodzącą aż do ofiary, pasterze, z których wielu już to czyni, jako zadanie naczelne winni traktować udzielenie odpowiedzi na to wezwanie.

5. Dopiero wychodząc do misji ewangelizacyjnej, branej integralnie, rozumie się wymogi promocji ludzkiej i autentycznego wyzwolenia. Niezbędnymi filarami tego wyzwolenia są: prawda o Jezusie Chrystusie, o Zbawicielu, prawda o Kościele, prawda o człowieku i jego godności. W świetle Błogosławieństw, a przede wszystkim błogosławieństwa ubogich duchem, Kościół pragnie służyć szlachetnej walce o prawdę i sprawiedliwość, chcąc być na całym świecie Kościołem ubogich. Zwraca się do każdego człowieka, a tym samym do wszystkich ludzi. Jest "Kościołem uniwersalnym. Kościołem Tajemnicy Wcielienia. Nie jest Kościołem jakiejś klasy czy kasty. Przemawia zaś w imię samej prawdy. Ta prawda jest realistyczna". Uczy on, że "należy liczyć się z każdą rzeczywistością ludzką, z każdą niesprawiedliwością, z każdym napięciem, z każdą walką" /Jan Paweł II, Przemówienie wygłoszone w Rio de Janeiro do faveli "Vidigal", 2 lipca 1980/.

6. Skuteczna obrona sprawiedliwości winna być oparta na prawdzie o człowieku, stworzonym na obraz Boży i powołanym do łaski Bożego synostwa. Uznanie prawdziwego stosunku człowieka do Boga stanowi podstawę sprawiedliwości jako reguły normującej stosunki między ludźmi. Jest to racja, dla której walka o prawa człowieka, stale przez Kościół przypominana, stanowi autentyczną walkę o sprawiedliwość.

7. Prawda o człowieku wymaga, by ta walka była prowadzona za pomocą środków odpowiadających ludzkiej godności. To dlatego systematyczne i świadome uciekanie się do ślepej przemocy przez którąkolwiek ze stron musi być potępione. Ten, kto ufa w przemoc i sądzi, że dzięki temu zapanuje większa sprawiedliwość, pada ofiarą śmiertelnej iluzji. Przemoc zrodzi przemoc i zdegradowe człowieka. Uraża ona godności ludzkiej w osobie poszkodowanych i poniża tę samą godność tych, którzy się nią posługują.

10. Równocześnie, obalenie drogą rewolucyjnej przemocy struktur powodujących niesprawiedliwość nie oznacza ipso facto ustanowienia sprawiedliwego ustroju. Tych wszystkich, którzy szczerze pragną wyzwolenia swych braci powinien skłonić do refleksji fakt znamionujący naszą epokę. Miliony naszych współczesnych słusznie pragną odzyskać podstawowe wolności, odebrane im przez ustroje totalitarne i ateistyczne, które doszły do władzy na drodze rewolucji i przemocy właśnie w imię wyzwolenia ludu. Nie można zapominać o tej hańbie naszej epoki: to właśnie starając się rzekomo przynieść im wolność, utrzymuje się całe narody w niegodnych warunkach niewolnictwa. Ci, którzy - być może nieswiadomie - współdziałają na rzecz takiego niewolnictwa, zdradzają ubogich, którym zamierzają służyć.

11. Walka klasowa jako droga prowadząca do społeczeństwa bezklasowego jest mitem uniemożliwiającym reformy i pogłębiającym nędzę i niesprawiedliwość. Ci, którzy ulegają fascynacji tym mitem, winni się zastanowić nad gorzkimi doświadczeniami historycznymi, do któ-

rych on doprowadził. Zrozumieliby wówczas, że nie chodzi bynajmniej o zaniechanie drogi skutecznej walki po stronie ubogich i na rzecz nie dającego się zrealizować ideału. Przeciwnie, chodzi o uwolnienie się od złudzeń, aby oprzeć się na Ewangelii i jej realnej sile.

Zakończenie

"... Ta sama miłość skłania również Kościół do ciągłej troski o prawdziwe korzyści ludzi, gdy chodzi o dobra doczesne. Albowiem chociaż nie przestaje on przypominać swym dzieciom, że tu na ziemi nie mają trwałego miasta, to jednak pobudza je, aby wedle swych warunków życiowych oraz zasobów przyczyniały się do wzrostu swego ziemskiego państwa, aby popierały sprawiedliwość, pokój i zgodę braterską między ludźmi i aby udzielały pomocy biedniejszym i nieszczęśliwszym braciom.

Usilnej troski, z jaką Kościół, Oblubienica Chrystusa, odnosi się do potrzeb ludzkich, do ich radości i oczekiwań, bolesti i trudów, nie należy poczytywać za nic innego, jak za gorące pragnienie towarzyszenia im, aby oświecać ich światłem Chrystusa i aby gromadzić oraz jednoczyć wszystkich w Nim, jedynym Zbawicielu. Nigdy zaś nie należy pojmować tej troski w tym sensie, jak gdyby Kościół upodabniał się do spraw tego świata, albo jakby słał nań w samym zapale, z jakim wyczekuje na Pana i Jego wiekuiste Królestwo" /Paweł VI, Wyznanie wiary Ludu Bożego, 30 czerwca 1968/.

W czasie audiencji udzielonej niżej podpisanemu Prefektowi Jego Świątobliwość Jan Paweł II zatwierdził tę Instrukcję, przyjętą na zwyczajnym posiedzeniu Kongregacji Nauki Wiary, i zarządził jej opublikowanie.

/Podkreślenia pochodzą od redakcji/



Cenzura w Tygodniku Powszechnym

Formalnie działanie zinstytucjonalizowanej cenzury prasowej odbywa się w Polsce na podstawie Ustawy z 31.VII.1981 r. O kontroli publikacji i widowisk, znowelizowanej 28.VII.1983 r. w ramach pakietu ustaw o szczególnej regulacji prawnej w okresie wychodzenia z kryzysu. Ustawa - jak pamiętamy - była ciężko wywalczonym kompromisem i wówczas /w lecie 1981/ oceniano ją jako umiarkowany sukces w walce o wolność słowa. W zmienionych warunkach politycznych ten akt prawny wydaje się - mimo późniejszych zmian - reliktem z zamierzonej epoki wolności. I dlatego, jako nieprzystający do aktualnego układu sił, jest przez władze faktycznie ignorowany.

Nowelizacja z lipca 1983 r. nie znosiła prawa zaznaczania ingerencji cenzorskich; zbliżony do wyjściowego pozostał katalog treści, których publikacja jest zakazana; wreszcie - po zniesieniu stanu wojennego - przywrócono możliwość zaskarżania do sądu decyzji Głównego Urzędu Kontroli.

"Tygodnik Powszechny", jako jedno z niewielu pism, zaznacza ingerencje cenzury. Podobnie postępują jeszcze inne wydawnictwa katolickie, choć nie wszystkie: np. pisma PAX-u, ChSS-u i PZKS-u nie czynią tego.

Sądząc po liczbie zaznaczeń w III kwartale tego roku, TP był przeciętnie w numerze "cięty" 16,1 razy. W statystycznym numerze z tego okresu było 14,3 ingerencji częściowych /tzn. dotyczących fragmen-

tów tekstu/, natomiast całkowicie skonfiskowano 1,8 tekstu. Redakcja pisma wyjaśniają, że podobna statystyka nie oddaje jednak realiów tak co do ilości jak i - tym bardziej - co do jakości skreśleń. Po pierwsze bowiem ilość rzeczywistych ingerencji przekracza wyraźnie liczbę skreśleń zaznaczonych. Po drugie zaś ingerencje te - jakkolwiek powołują się na podstawę prawną - daleko wykraczają poza określone w ustawie ograniczenia wolności słowa.

Sprawa pierwsza - ilość skreśleń. Wskutek presji cenzury redakcja zasadniczo nie zaznacza ingerencji w teksty hierarchów Kościoła. Podobnie - gdy chodzi o cały szereg spraw szczegółowych - zależnie od okoliczności. Na przykład ostatnio, w numerze wydanym po pogrzebie ks. Popiełuszki nie zaznaczono skreśleń we fragmentach jego wypowiedzi. Ale o jaką chodzi tu presję? Mechanizm jest bardzo prosty. Okręgowy Urząd Kontroli /ewentualnie Główny Urząd w Warszawie/ stwierdza: "Albo Panowie nie zaznaczycie tych ingerencji i tekst - choć pocięty - pójdzie albo, jeśli się upieracie, spadnie cały". Wybór jest wtedy wynikiem kalkulacji strat i zysków.

Innym sposobem zaniżania statystyki jest tzw. "wstrzymanie" materiału. Jest to metoda pozaprawna, praktykowana od czasu wojennego. Polega ona na odłożeniu decyzji w sprawie danego materiału na późniejszy, a bliżej nieokreślony termin; artykuł nie jest ani "zwolniony" ani "zdjęty", po prostu brak decyzji. W takim wypadku redakcja nie może go ani opublikować ani zamieścić informacji o jego skonfiskowaniu. Znane są wypadki "wstrzymania" materiału na kilka miesięcy. Może się zdarzyć, że w tym czasie traci on całkowicie aktualność i redakcja rezygnuje z jego publikacji.

Wreszcie bywa i tak, że artykuły tak są pokreślone, że nie ma sensu ich publikowanie /nawet z zaznaczeniem ingerencji/. W takim wypadku bliższe prawdy byłoby podanie informacji o "zdjęciu" całego artykułu, tego jednak uczynić nie można. W konsekwencji: nie ma tekstu, nie ma informacji o jego skonfiskowaniu, ani nawet o ingerencjach częściowych.

Sprawa druga - jakość skreśleń. Ustawa o cenzurze wylicza w artykule 2, 10 zakresów treści, których publikacja jest prawnie zakazana. Zakazy te są w większości dość umiarkowane, cenzura jednak szaleje po tekstach dowolnie. Zobaczmy to na przykładach.

Zdecydowanie największej /ponad połowa/ jest w TP skreśleń powołujących się na p.1. Dotyczy to również konfiskat całościowych, co oznaczać powinno, że przynajmniej jeden tekst w numerze godzi w całości w niepodległość lub integralność terytorialną albo też zagraża bezpieczeństwu państwa. Odnośnie części pierwszej /niepodległość i integralność/ oznacza to, że tekst opowiada się przeciw niepodległości PRL oraz za oderwaniem od niej części jej obecnego terytorium. Co to oznacza odnośnie części drugiej, tego niestety nie wiadomo. Nie jest przecież precyzyjny termin "zagraża bezpieczeństwu państwa" i pewnie dlatego dołączono go do p.1. Pozwala to na dużą dowolność i arbitralność działania cenzury. Spójrzmy zatem, jakie to artykuły zakwestionowano na podstawie punktu 1.

- W numerze 37 zdjęto artykuł Macieja Tarnawskiego o projekcie nowelizacji prawa karnego, w którym autor krytykował szersze wprowadzenie trybu przyspieszonego, zaostrożenie kar itp.

- W numerze 43 - artykuł Edmunda Osmańczyka o porozumieniu narodowym. Osmańczyk twierdził w nim, że PRON nie jest platformą rzeczywistego porozumienia władzy ze społeczeństwem.

Dodajmy, że w opinii cenzury teksty te w ogóle nie nadawały się do publikacji, nawet po ewentualnych skreśleniach. W całości więc godziły w niepodległość lub integralność lub wreszcie zagrażały bezpieczeństwu państwa.

Około 1/3 - 1/4 tekstów "spada" z powołaniem się na punkty 2 i 3.

Zgodnie z ustawą powinny one: "nawoływać do obalenia, łżyć, wyszy-
dzać lub poniżyć konstytucyjny ustrój PRL" /p.2/ albo "godzić w kon-
stytucyjne zasady polityki zagranicznej PRL i jej sojusze" /p.3/.

Oto te "nawoływające do obalenia...":

- W numerze 43 artykuł Alicji Grześkowiak krytykujący zamiar wprowa-
dzenia kary banicji; w wymiarze międzynarodowych zobowiązań Polski,
doktrynalnym i skuteczności oddziaływania tej kary. Ponadto tekst
ten - według cenzury - naruszył także p.1.

A oto inne - "godzące w konstytucyjne zasady..."

- W numerze 37 tekst Szczepana Kalinusa poświęcony twórczości lite-
rackiej Milana Kundery.

- W numerze 37 tekst Andrzeja Brozka o Polonii w krajach ościennych
/głównie w ZSRR/ oparty wyłącznie na radzieckich danych statystycz-
nych.

I te materiały oceniono jako w całości niecenzuralne.

Szczególnie drastyczne było "wykastrowanie" numeru 46 poświęconego
w dużej części ś.p. księdzu Jerzemu Popiełuszcze. Spośród materia-
łów nawiązujących do osoby tego kapłana zdjęto w całości felieton
Piotra Wierzbickiego, wstrzymano reportaże Romana Graczyka z pogrze-
bu, "pocięto" życiorys ks. Popiełuszki do tego stopnia, że bezcelo-
wa stała się jego publikacja. Były też pojedyncze ingerencje w in-
ne materiały: refleksje Tadeusza Szymy i odpowiedni fragment Obra-
zu Tygodnia. Osobną sprawą są ingerencje w dokumentację fotograficz-
ną z pogrzebu.

Tym razem celem cenzury było niedopuszczenie do przedstawienia
tego pogrzebu jako wielkiej manifestacji patriotycznej i prosolidar-
nościowej. Skreślono wszelkie elementy wskazujące na taki właśnie
charakter tej uroczystości. Spośród przedstawionych 12 fotografii
autorstwa Anny Beaty Bohdziewicz, Adama Bujaka i Stanisława Markow-
skiego - 2 skonfiskowano w całości, 1 okrojono w stopniu wyklucza-
jącym celowość publikacji, 5 odpowiednio wykadrowano, 1 wykadrowano
i wyretuszowano, 1 wyretuszowano. Przykłady: na zdjęciu pokazującym
moment składania trumny do grobu obcięto hutnika w stroju represen-
tacyjnym pochylającego się nad trumną; na fotogramie trumny z per-
spektywą na stojący przed kościołem tłum - białoczerwoną flagę.

Cenzura zgodziła się, aby te i inne fałszerstwa skwitować jednym:
--- ustawą..., pkt.1... Iakoniczna ta informacja nie oddaje ani
rozmiaru ingerencji ani ich właściwego sensu. Pokazanie na pogrze-
bie ks. Popiełuszki górników i hutników tudzież białoczerwonego
sztandaru zostało zakwalifikowane jako godzenie "w niepodległość
lub integralność terytorialną lub bezpieczeństwo państwa". Komentarz
jest tu zbyteczny.

Ale na czym polega specyfika "Tygodnika Powszechnego" w istnie-
jących warunkach? Myślę, że sprowadza się ona do dwóch istotnych
elementów: języka oraz nieistnienia tzw. cenzury pozytywnej. Mimo
wnikliwej kontroli politycznej nad pismem nie udało się władzom na-
rzucić Tygodnikowi języka nowomowy - to rzecz pierwsza. Nie udało
się też nigdy sterować redagowaniem pisma poprzez decydowanie o tym
jakie teksty pójdą do druku. Cenzura jest władna nawet arbitralnie
nie dopuścić czegoś do druku, nie jest władna nakazać drukowania
czegokolwiek.

Ignacy Bęben

Od redakcji: Autor napisał, iż ustawa o cenzurze wylicza w artykule
drugim 10 zakresów treści, których publikacja jest prawnie zakaza-
na. Oto one. Według ustawy nie wolno:

1. godzić w niepodległość lub integralność terytorialną PRL oraz

zagrozić bezpieczeństwu państwa;

2. nawoływać do obalenia, złżyć, wyszydzać lub poniżyć konstytucyjny ustroj PRL;

3. godzić w konstytucyjne zasady polityki zagranicznej PRL i jej sojusze;

4. uprawiać propagandy wojennej;

5. ujawniać wiadomości stanowiące tajemnicę państwową;

6. nawoływać do popełnienia przestępstwa lub je pochylać;

7. ujawniać bez zgody zainteresowanych stron wiadomości z postępowania sądowego;

8. naruszać uczuć religijnych i uczuć osób niewierzących;

9. propagować dyskryminacji narodowościowej i rasowej;

10. propagować treści szkodliwych obyczajowo.



DOKUMENTY

Do Komitetu Obrony Praworządności w Krakowie

Ja, niżej podpisany, jestem wikarym parafii Opieki Matki Bożej w Zabierzowie Bocheńskim k/Niepołomic. Dziękując zgodnie ze swoim sumieniem, które nie pozwala mi być obojętnym wobec zła, zwracam się do Komitetu w sprawie zamordowanego przez "nieznanych sprawców" śp. Tadeusza Frąsła, wiernego tejże parafii. Do poniższego listu dołączam skargę matki Zamordowanego, Anny Frąs, która to skarga wysłana została do ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszcza. A oto wszystkie dane dotyczące tej sprawy, które udało mi się zebrać przy pomocy wielu mieszkańców Zabierzowa Bocheńskiego:

Tadeusz Frąs urodził się 21 lipca 1949 roku. Po ukończeniu studiów inżynierskich pracował jako nauczyciel w tutejszej szkole podstawowej. Jako dobry pedagog cieszył się dużym autorytetem tak uczniów, jak i nauczycieli. Szczególnie był lubiany przez młodzież, której poświęcał wiele czasu. Był również gorliwym katolikiem i prowadził niebagatelną rolę życia. Po sierpniu 1980 roku, wierny swoim patriotycznym przekonaniom, włączył się w niezależny ruch związkowy, będąc założycielem koła "Solidarności" w swojej szkole podstawowej. Do chwili stanu wojennego pełnił funkcję przewodniczącego koła związkowego. W czasach rządów WRON-y prowadził nadal - co już po jego śmierci można ujawnić - niezależną działalność związkową. W połowie 1983 roku zwierzył się jednemu ze swoich przyjaciół, że "milicja depcze mu po piętach". Na dwa tygodnie przed swoją śmiercią usunął z domu wszelką prasę podziemną.

Przez ostatnie dni swojego życia był bardzo podenerwowany. Chciał nie chciał powiedzieć, co jest powodem tego podenerwowania, najbliżsi podejrzewali, że spotykają go jakieś przykrości ze strony władz. W dniu 7 września 1983 roku wyjechał do Krakowa, gdyż był umówiony ze swoim promotorem pracy magisterskiej. Wiózł ze sobą brudnopisowej pracy. Ostatni raz widziano go w tym dniu o godz. 10-tej przy kawiarni na ulicy Pijarskiej. Mimo wcześniejszej zapowiedzi nie zgłosił się do swego promotora, ani do przyjaciela, z którym był wówczas umówiony. Jego zwłoki znaleziono tego samego dnia porzucone na podwórku przy ulicy Różanej 13 na Dębnikach. Pogotowie, które przyjechało o godz. 22-giej stwierdziło zgon oraz liczne obrażenia wewnętrzne i zewnętrzne. Zmarły posiadał przy sobie dokumenty osobiste, ale rodzinę o śmierci zawiadomiono dopiero po trzech dniach, co wzbudziło duże podejrzenia, gdyż milicjanci nie umieli wytłumaczyć tej zwłoki.

Pierwotna wersja podana przez funkcjonariuszy MO stwierdzała, że Tadeusz Frąs popełnił samobójstwo, wyskakując oknem po pijackiej libacji, z meliny, która znajdowała się na II piętrze. Miały to potwierdzać tak zeznania trzech mieszkańców meliny, jak i relacja kelnerki z pobliskiego baru, która miała jakoby widzieć Tadeusza Frąsia około godz. 20-tej. Wstępne dochodzenia ustaliły jednak ogromną sprzeczność między relacjami poszczególnych mieszkańców meliny. Nie znaleziono żadnego przekonywującego dowodu, że Zamordowany w ogóle w tej melinie przebywał. Zeznania kilkuletniej córki jednego z meliniarzy, która jakoby miała widzieć sam moment samobójstwa, okazały się - na podstawie badań psychologa - wyuczoną na pamięć formułką, którą dziecko klepało pod wpływem zastraszenia. Również relacja kelnerki okazała się fałszywa, gdyż osobnik, który tego wieczoru przebywał w barze wraz z meliniarzami, używał imienia "Andrzej". Kelnerka nie umiała rozpoznać właściwej fotografii Zmarłego, a skojarzyła go tylko dlatego, że "był elegancko ubrany". Co więcej, oględziny okna dokonane przez dwóch milicjantów: A. Sikorę i W. Lnianego stwierdzały, że była otwarta tylko jedna kwatery, a przez cały otwór przeciągnięty był na wysokości pół metra nierozzerwany sznurek, który całkowicie uniemożliwiał wyskoczenie bez jego rozerwania.

Wizja lokalna dokonana w obecności rodziny wykazała jeszcze większe wątpliwości. Otóż okazało się, że protokół ze znalezienia zwłok, wykonany przez porucznika MO, Henryka Buckiego z DUSW Kraków-Podgórze, zawiera wiele fałszywych danych. Przede wszystkim inaczej opisywał on układ i położenie zwłok niż zeznali to świadkowie. Poza tym w protokole określił powierzchnię podwórka jako "brukowaną kostkę", podczas gdy była to brukowana wylewka. Wszystko to wskazywało na to, że Tadeusz Frąs nie został wyrzucony z okna przy ul. Różanej 13, ale jego zwłoki najprawdopodobniej zostały tutaj podrzucone. Huk spadającego przedmiotu, który zwrócił uwagę mieszkańców posesji, a który miał być hukem spadającego ciała, był najprawdopodobniej hałasem spowodowanym przez dużą doniczkę, którą ktoś rozmyślnie zrzucił na dół. Również niewiązane obuwie, czyli tak zwane klapki, które Zmarły miał na nogach świadczyły, że ciało nie mogło spaść z dużej wysokości, gdyż klapki owe pospadałyby ze stóp.

Mimo tak oczywistych dowodów oraz fałszywych danych w protokole por. Buckiego, funkcjonariusze MO nadal podtrzymywali wersję o samobójczym skoku, co dla rodziny było absolutną bzdurą. Tym bardziej, że nic nie wskazywało powodów do tego, aby Tadeusz Frąs miał popełnić samobójstwo i to właśnie w tym dniu, w którym miał oddać napisaną z takim trudem pracę magisterską. Ogromne zdziwienie wzbudził fakt, że funkcjonariusze MO oświadczyli, iż sekcja zwłok wprawdzie natychmiast została wykonana, ale że protokół z niej "zaginął". Jest to kolejny argument przemawiający za tym, że milicja za wszelką cenę chciała tej sprawie ukręcić głowę. Protokół sekcji wciąż "nie mógł się odnaleźć", a sprawę już skierowano do prokuratury w celu umorzenia.

Ustawiczne wysiłki rodziny sprawiły, że pod koniec listopada, a więc w przeszkło dwa miesiące po dokonaniu zbrodni, "odnalazła się" kopia protokołu. W wyniku badań medycyny sądowej stwierdzono szereg obrażeń, które świadczyły nie tylko o pobiciu Zmarłego, ale wręcz o t o r t u r o w a n i u. Znaleziono ślady na głowie od uderzeń tępym przedmiotem, np. łomem czy kolbą pistoletu. Na podbródku znajdowała się rana od duszenia ostrą linką lub drutem, która to rana w żaden sposób nie mogła powstać np. w czasie wypadnięcia przez okno. Połamane były żebra i to z obu stron, a także istniały ślady powstałe od kopania po udach i klatce piersiowej. Wargi były zaciśnięte w charakterystyczny sposób świadczący o skurczu spowodowanym bólem. Zawartość żołądka jeszcze raz wykluczała, że Zamordowany mógłby być o-wym "Andrzejem". zauważonym w barze przez kelnerkę. Znaleziono duże

stężenie alkoholu we krwi i moczu, ale efekt taki powstaje np. w wyniku wstrzyknięcia odpowiedniej dawki do żyły, tak jak to miało miejsce w wypadku zamordowanego przez "nieznanych sprawców" Stanisława Pyjasa w 1977 roku.

Rodzina zamordowanego nauczyciela robiła wszystko, aby wyjaśnić całą sprawę. Niestety MO i prokuratura sprawę dwukrotnie umorzyły. Niezliczona ilość skarg i zażaleń pozostała bez odpowiedzi. Instytucje powołane, aby pomóc obywatelom w dochodzeniu swych praw, wykazały tutaj absolutną ignorancję. Ohyda tej obrodni jest podwójna. Raz, że zamordowano niewinnego człowieka; drugi raz dlatego, że po śmierci odebrano mu prawo do dobrego imienia, a fałszując dowody uczyniono z niego desperata i pijaka.

Wraz z mieszkańcami wioski Zabierzów Bocheński liczę na pomoc Komitetu w zmuszeniu władz do wyjaśnienia prawdy.

Łączę wyrazy szacunku i solidarności

Ks. Tadeusz Zaleski

17.XI.1984

Anna Fraś
Wola Zabierzowska 146
32-007 Zabierzów Bocheński

29.X.1984

Minister Spraw Wewnętrznych
Gen. Broni Czesław Kiszczał

S K A R G A

W maju 1984 roku zwróciłam się do Pana Ministra z prośbą o wyjaśnienie zbrodni dokonanej na moim synu, Tadeuszu Fraśiu. Pokróćce przypomnę okoliczności zbrodni:

W dniu 7.IX.1983 r. został zamordowany /najprawdopodobniej przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa/ mój syn. Jego zwłoki ułożono następnie pod oknem kamienicy przy ul. Różanej 13 w Krakowie. Miały one upozorować samobójstwo - tak określił to prowadzący śledztwo ob. porucznik Henryk Bucki z DUSW Kraków-Podgórze. Tylko fakt śmierci mego syna ob. Bucki stwierdził bezdyskusyjnie. Wszystkie inne czynności jakie wykonał w tej sprawie są co najmniej dziwne. Otóż tenże officer sfałszował w protokole oględziny miejsca wypadku. Wszystkie istotne sprawy dotyczące ułożenia zwłok również sfałszował i nie zabezpieczył żadnych śladów. Nie wykonał zdjęć ułożenia zwłok, które zostały tak ułożone, że wykluczają wyskoczenie lub wyrzucenie z tego okna. Nie przesłuchiwał mieszkańców kamienicy, którzy pierwsi znaleźli zwłoki mego syna. Na miejscu nie było przedstawiciela prokuratury. Również zawiadomiono rodzinę, choć zmarły mi 1 przy sobie dokumenty osobiste, dopiero na trzeci dzień po wypadku. Świadczy to o tym, że prowadzącym śledztwo usilnie zależało na zatartiu dowodów i wszelkich śladów.

Dalsze działania organów ścigania i prokuratury rejonowej zmierzły do przeciągania sprawy i założonego przez nich umorzenia. Przecież już 15.X.1983 r. prokurator prowadzący sprawę chciał ją umorzyć, mimo że nie posiadał jeszcze protokołu sekcji. Wszelkie ślady prokuratury w tej sprawie były wymuszone przez moją córkę składającą wnioski dowodowe na piśmie. Niektóre wnioski niewygodne dla mi-

licji zostały pokryte milczeniem. Wszystkie te szczegóły zawarte są w aktach sprawy. W różnych skargach pisanych o śmierci mojego syna podkreślałam udział funkcjonariuszy DUSW Kraków-Podgórze w fałszowaniu i zacieraniu śladów tego haniebnego morderstwa. Wszystko to wskazuje na fakt, że sami to zrobili, a teraz nie ma winnych, a ja jestem bezradna.

Mam nadzieję, że w nowej sytuacji resortu spraw wewnętrznych, kiedy odobicie Pan Minister zapewniał całe społeczeństwo, że tego typu sprawy zostaną uczciwie załatwione, również moja skarga będzie dokładnie wyjaśniona.

Sądząc, że teraz załatwiający skargę w Pańskim resorcie zechce Pana Ministra o tym poinformować - o co bardzo proszę. W swym telefonicznym wystąpieniu po uprowadzeniu ks. Jerzego Popiełuszki zapewnił Pan społeczeństwo, że nasz kraj był i pozostanie praworządnym. Chciałabym w to uwierzyć i wreszcie otrzymać uczciwą odpowiedź wyjaśniającą to bestialskie morderstwo.

Oczekuję na uczciwe i sumienne wyjaśnienie mojej skargi.

Anna Frańś



Smutne ale prawdziwe czyli o „prawdziwkach”

"Każdy fanatyk ma czyste sumienie"
"Ratując innych, ratujesz sam siebie"

/Fiodor Dostojewski/

Oż raz u wstępie spieszę z wyjaśnieniem, że nie będzie to tekst o "prawdziwym patriotcie" gen. Jaruzelskim i jego ekipie. "Ratowaniu" Polski stanem wojennym, w rogatywe, przy dźwiękach "Międzynarodówki" /tudzież "Roty"/ poświęcono już zresztą sporo lepiej, czy gorzej napisanych stron.

Mowa będzie o innym zjawisku, a mianowicie, o dokumencie pod nazwą "Karta'84", który w kwietniu br. "wyprodukowała" TKZ NSZZ "Solidarność". Początkowo łudząc się naiwnie, że stereotyp antyrosyjskości wśród rodaków angażujących się w podziemne działania został skutecznie przełamany sądziłem, iż jest to "fałszywka". Nadzieje moje okazały się jednak płonne, bowiem, pomimo nadania przez RWE w dniu 1 i 2 maja br. drugiej części "Karty" zatytułowanej "Do Rosjan" /nawiasem mówiąc, bez słowa komentarza, co wypada, niestety, na niekorzystny rozgłosni/, nie ukazało się na ten temat żadne dementi ze strony TKZ.

W swojej "rozprawce" pomijam pierwszą część dokumentu skierowaną do rządów państw zachodnich. Świadczy ona jedynie o wciąż jeszcze występującej u Polaków naiwności politycznej w ocenianiu "wolnego świata", jego chęci i możliwości. O wiele bardziej zajmująca dla poszukiwacza dowodów ludzkiej bezmyślności jest druga część będąca apelem "Do Rosjan".

Apele składa się z dwóch zasadniczo różniących się części. Pierwsza z nich ma Rosjanom zaprezentować nas, Polaków /naszą tradycję, kulturę, ideały - tzw. charakter narodowy/. Tymczasem stawia ona pełen samouwielbienia hymn pochwalny. Okazuje się bowiem, iż jesteśmy wzorem wszelkich cnót chrześcijańskich, ucieleśnieniem tolerancji, wolności, postawy obywatelskiej itd, itd. Człowiek czyta i wi-

dzi jaśniejącą nad Polską aureolę świętości /tym bardziej, że przecież Papież jest "nasz, polski"/

Dziwnym trafem umknęły uwadze "prawdziwych Polaków" takie fakty z historii, jak choćby: prześladowanie Arian, rubaszna obywatelskość czasów saskich, Targowica, umiłowanie cesarza Franciszka, wiernopoddańcze, wykraczające poza ramy tzw. polityki ugodowej wzdychanie niektórych rodaków do Katarzyny II - czy w bliższych nam czasach Polski Niepodległej - niezbyt tolerancyjne traktowanie mniejszości narodowych, układanie się z bolszewikami za plecami walczących "białych" /z dzisiejszej perspektywy widać, że polską racją stanu mogło być wówczas rozgromienie wspólnie z Denikinem młodego, dopiero tworzącego się państwa sowieckiego/, pozostawienie petliurowców na pastwę bolszewikom, Brześć, Bereza Kartuska.

Nie jest też prawdą, jakobyśmy nie mieli quislingowskich rządów. Książka Tadeusza Żenczykowskiego*) o powstaniu Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Polski pod przewodnictwem Marchlewskiego w 1920 roku i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w 1944, mówi na ten temat dość wyczerpująco. Byli również polscy czerwonoarmiści, byli też wyżsi rangą. Osobnym bowiem rozdziałem jest poważny udział polskich komunistów w tworzeniu państwa sowieckiego. W tym wypadku ograniczę się do przytoczenia wiersza Włodzimierza Majakowskiego, będącego wezwaniem do młodzieży pracującej:

"Młodzieży

co obmyślać

przyszłe życie zwykła,

szuka kogoś,

by wziąć przykład swych zamierzeń z niego,

bez namysłu

powiem:

bierz przykład

z towarzysza Dzierżyńskiego"

Nikomu chyba nie trzeba przypominać czego można było się nauczyć od tow. "Józefa".

Przejdźmy teraz do drugiej części apelu przedstawiającej Rosjan /jak wynika z tytułu - im samym/. W tym momencie uczucie wstydu miesza się z zadziwieniem nad głupotą autorów.

Mamy przed sobą pełen pogardy i nienawiści akt oskarżenia pod adresem Rosjan /wszystkich!/. Zarzuty sporządzone są raczej zgodnie z logiką "Znowu nam Ruski pogodę spieprzyli". Jeśli chodzi o ich absurdalność to nie powstydziliby się jej nawet sam prokurator Wyszyński.

Otóż Rosjanie /wszyscy!/ odpowiadają za pakt Ribbentrop-Mołotow, 17 września, Katyń, areszty i zesłania, proces 16-tu... Na dodatek autorzy z nieskrywanym żalem czynią Rosjanom wyrzut, "iż tak postąpili z krajem, który bezpośrednio przed wybuchem wojny odrzucił propozycję III Rzeszy, by razem z nią uderzyć na ZSSR". /O ile mi wiadomo przyczyną nie była ani sympatia dla Rosjan, ani tym bardziej dla władz sowieckich/.

Zacietrzewieni oskarżyciele mają też coś do powiedzenia na temat najnowszej historii. Okazuje się mianowicie, że Rosjanie odpowiadają również /jeszcze raz podkreślam - wszyscy/ za wydarzenia w Polsce w 56, 70, 76, 80/81 roku. Nie wyda się to dziwne jeżeli tak jak autorzy "Karty" przyjmujemy, że Rosjanie "deprawują tych, którzy nami rządzą". Jednym słowem tow. generał to swój chłop, ale ma złych kolegów. A przecież prawda jest taka, że do robotników nie strzelał nikt inny tylko Polacy, podobnie jak w Gdańsku dogadywał się Polak z Polakiem. Inaczej mówiąc nie Rosjanin, lecz komunista.

*) T. Żenczykowski. - "Dwa Komitety 1920 - 1944"

TKZ w swoich ksenofobicznych wynurzeniach skupia się najwyraźniej na historii Rosji bolszewickiej. A wypadaloby także spojrzeć, w miarę obiektywnie, na okres Rosji carskiej, bo i wtedy podejmowano próby walki o wolność, demokrację, zmiany systemowe. Jakże bowiem nazywać powstanie Pugaczowa, powstanie dekabrystów, walkę, nie przebiegających w środkach, różnej maści przeciwników caratu /często współpracujących z polskimi/. Czymże wreszcie była rewolucja 1905 roku i rewolucja lutowa w 1917? A potem? No właśnie. W tym momencie wkraczamy w nowy rozdział historii Rosji - w trwający blisko 70 lat koszmar władzy sowieckiej. Jak można sądzić, autorzy "Karty" uważają, że Rosjanie mają komunizm bo go chcieli, bo im odpowiadał.

Zaczął się jednak podobnie jak zaczynało się to później w innych krajach. Komuniści udoskonalili oczywiście swoje sposoby przejmowania władzy "z woli ludu", dostosowując je za każdym razem do bardziej lub mniej korzystnego dla siebie układu sił społecznych, politycznych, do sytuacji gospodarczej i stosunków na arenie międzynarodowej. Zmienił się oczywiście sponsor. Owego pamiętnego roku do Rosji przybyła w zaplombowanym wagonie grupka wybitnych komunistów z Leninem na czele - za niemieckie pieniądze. Cele były do pogodzenia: Niemcom chodziło o wycofanie Rosji z wojny, bolszewikom o władzę. Przed podróżą Karol Radek miał powiedzieć do "wodza rewolucji": "... albo będziemy ministrami, albo będziemy wisieć.*) Niestety, nie przegrali. W przewrocie pomógł im rozgardiasz panujący w porewolucyjnej Rosji /wkraczającej już jednak na drogę demokratycznych reform/, oraz pacyfistyczne nastroje ludności. Główną ich siłą stanowili bowiem dezertrzy z frontu i ci, którzy uwierzyli w hasło "pokój i ziemia dla ludu".

Pewną rolę odegrały także międzynarodowe brygady komunistów, wspierając bolszewików w wojnie domowej. Tylko, żeby wojna była wojną - musiał istnieć przeciwnik. Były nim armie "białych", czy jak kto woli kontrrewolucjonistów. Koniec ich był tragiczny: ci, którzy nie zginęli w walce bądź w niewoli, opuszczeni przez zachodnich aliantów /którzy już zaczynali bratać się z władzą rad/, próbowali ratować się ucieczką na emigrację. W ciągu 3 lat zginęło w wyniku tej wojny jakieś 20 milionów ludzi - tak wyglądał bolszewicki pokój. Co się zaś tyczy ziemi, to w miejsce reformy nastąpiła krwawa kolektywizacja. I w tym wypadku przeciwstawiano się na wszelkie sposoby /chłopi masowo zarzynali bydło i ginęli z głodu/. Znamienny jest także los tych, którzy próbowali walczyć środkami parlamentarnymi. Zjazd demokratycznie wybranych delegatów, bynajmniej nie dający przewagi bolszewikom, rozpędzono wcale nie demokratycznie - siłą. Podobnie rozprawiono się z partiami politycznymi /kadetów, eserów, mien-szewików/. Swoje stalowe skrzydła zaczynała rozwijać Czecha. Autorzy "Karty" pragną "oszczędzić" Rosjanom przypomnienia tego, co opisał A. Sołżenicyn w "Archipelagu Gułag". Po pierwsze, sądzę, iż Rosjanie, którzy nie stali się jeszcze sympatykami Czecha /obecnie KGB/, doskonale pamiętają o milionach ofiar ze w s z y s t k i c h narodów Związku Sowieckiego, które zginęły w katowniach bezpieczeństwa, więzieniach, obozach Gułagu. Linia podziału na katów i ofiary nie przebiega wcale w tym wypadku tak, jak to sugerują autorzy "Karty" /Rosjanie - nie-Rosjanin/. Cierpieli wszyscy /także w momencie podpisywania paktu Ribbentrop-Mołotow, czy procesu 16-tu/. Po drugie: Gułag to nie tylko dzień wczorajszy, ale i sowiecka teraźniejszość.

Na każdym etapie budowy komunizmu w ZSSR nie brak Rosjan, którzy by się temu procesowi odczułowiczania przeciwstawiali. Ludzi gotowych do największych poświęceń w obronie demokracji, w obronie godności ludzkiej. W czasie II wojny światowej pojawiały się próby walki zbrojnej zarówno z okupantem zewnętrznym, jak i z władzą sowiecką /niektórzy walczyli jeszcze dłużej po wojnie/. Na początku

*) A. Sołżenicyn - "Lenin w Zurychu"

lat 60-tych przez całe Sowiety /także republikę rosyjską/ przetoczyła się fala krwawo stłumionych powstań robotniczych. Potem przyszła kolej na tzw. ruch dysydencki, dzisiaj w swej pierwotnej formie działania już niemal rozgromiony. Poprzez swą ofiarę dał on jednak świadectwo prawdzie o systemie sowieckim i co najważniejsze, pokazał, że można przed nim nie ugiąć kolan. Dał też w dużej mierze wzorce działania opozycjom demokratycznym w innych zniewolonych krajach. Ofiara tego ruchu jest niemała. Bo dysydenci to nie tylko Sołżenicyn, Sacharow i jeszcze paru bardziej znanych, ale tysiące, bardzo często anonimowych ofiar, także rosyjskich. "Karta '84" obraża pamięć o tych ludziach i milionach ich poprzedników i to jest hańbiące.

A dlaczego mowa o głupocie, nie tylko będącej wynikiem ignorowania faktów historycznych, ale o głupocie politycznej?

Otóż wydaje się, że w naszej polityce winniśmy raczej szukać sojuszników, aniżeli dodatkowych wrogów. Tak się składa, że naszymi sojusznikami są ci, którzy żyją tak jak my w komunizmie, ale go nie akceptują, a nawet mu się przeciwstawiają. Należą do nich też Rosjanie. Oczywiście, że nie wszyscy /dobrze by to było/, ale minimalizowanie roli tych niepokornych, jak to czyni skądinąd bardzo dobry pisarz Zinowiew, czy wręcz niezauważanie ich, jest - delikatnie mówiąc - poważnym błędem. A ileż to osób otwarcie głosiło swoją niezgodę na rzeczywistość komunistyczną przed Sierpniem 80 w Polsce /choć represji nie sposób przyrównać do sowieckich/? Niewiele. Ciekawe czy należeli do nich także autorzy "Karty".

Postaje pytanie: skąd biorą się poglądy podobne do tych jakie reprezentują "działacze" TKZ?

W świadomości Polaków /jak wielu?/ funkcjonuje pewien stereotyp będący wyobrażeniem o Rosjanach. Powoduje go szereg czynników. Niektóre z nich usprawiedliwione są po części obciążeniem doświadczeń historycznych. Są jednak i takie, których nie można nazwać inaczej jak z gruntu fałszywymi. Należy do nich przekonanie, że ZSSR jest kontynuacją Rosji carskiej, a więc cechuje go rosyjski charakter narodowy. Aby nie rozpisywać się zbyt, rozważmy tę kwestię na jednej tylko płaszczyźnie. Mówi się, że naród określa jego kultura. A co się stało z kulturą rosyjską? Większość wartościowych twórców skazano na częściowe, bądź całkowite milczenie /dla niektórych wiąże się to z pobytem w więzieniu/, bardzo wielu, z własnej woli lub pod przymusem, wyjechało na Zachód i na emigracji stara się pielęgnować, rozwijać i szerzyć kulturę rosyjską. Reżyser teatru na Tagance Liubimow i reżyser filmowy Tarkowski nie dla kaprysu zrezygnowali z mecenatu władz sowieckich, ale dlatego, że nie mogli pracować w warunkach jakie daje system sowiecki, w zgodzie z jego potrzebami. Po prostu, w ZSSR pod troskliwym okiem władz rozwija się nowy twór /choć bazujący na odpowiednio spreparowanej tradycji/ i wżera się w rzeczywistość, a mianowicie, kultura sowiecka. Olbrzymie zmiany widoczne są w sferze języka /nowo-mowa/, czy obyczajowości /moralność komunistyczna/. Przemiany tego typu znamienne są dla wszystkich krajów obozu /w mniejszym lub większym stopniu/ i stanowią realizację idei internacjonalizmu leninowskiego, czyli stworzenia "międzynarodowej wspólnoty" czerwonych. Mówiąc skrótowo: wszyscy komuniści mówią tym samym językiem.

Z pierwszym przekonaniem wiąże się drugie, że Rosjanie mają "barbarzyńską naturę" i to oni właśnie dali początek złu. Zarzut zaiste obrzydliwy. Ograniczę się do zaproponowania jego zwolennikom /trzymając się ich rozumowania/ jeszcze kilku nacji. Francuzi - gilotyna w dobie rewolucji wcale niedemokratycznie, acz niezmordowanie oddzielała głowy od tułowia "wrogów rewolucji", realizując jakobińskie idee /byli i polscy jakobini/. Anglicy - ponoć wymyślili obozy. Na przykład taki Karol Marks był Niemcem. Był nim też Hitler - wybrany,

jak przystało na środek Europy, demokratycznie. Można w końcu mieć pretensje do Gruzynów, o tego "ich" Stalina, albo dla ułatwienia dołączyć do tych, którzy winą za wszystko obarczają Żydów. Wygodne to rozwiązanie dla ludzi małych, chcących mieć proste usprawiedliwienie i wytłumaczenie wszystkiego, nawet własnej małości. Poniżając i obwiniając innych - urósł we własnych oczach...

Jedni, mniej wybredni używają określenia "dzicz azjatycka", inni swoją nienawiść ubierają w zgrabną retorykę i naukowość. Mówią z dumą: "my to Zachód" i dodają z pogardą - "Rosja to już Azja", dając tym samym pożywkę działaczom takim jak autorzy "Karty", a na Zachodzie utwierdzając jeszcze głębiej w iluzji tzw. eurokomunistów. Po pierwsze, nie potępiałbym tak w czambuł dziedzictwa po cywilizacji Wschodu, bowiem zawiera ono w sobie nie tylko negatywy, ale i pozytywne. Po drugie, na terenie Rosji nastąpiło zderzenie dwóch różnych kultur, lecz /pomimo, że spór zapadników i słowianofilów odbija się echem po dzień dzisiejszy/ górę w nim wzięła ta z naszego kręgu cywilizacyjnego. Pytanie na dziś brzmi zupełnie inaczej, a mianowicie, w jakim stopniu bolszewizm zdołał wydrzeć Rosję z kręgu naszej cywilizacji. Jak dalece Rosjan zastraszone terrorem, zdemoralizowano, zniewolono pojąc wódką i propagandowymi kłamstwami. ZSSR jest więzieniem, a więzienie raczej wykołaja. I nie jest to wpływ Azji, lecz celowego, destrukcyjnego działania KPZS.

Trzeba wreszcie powiedzieć o jeszcze jednym czynniku rozwijającym wszelkie ksenofobie, jakim jest propaganda. W Kraju Rad wzniecanie, podtrzymywanie i wykorzystywanie starych i nowych nienawiści jest stałym elementem polityki wewnętrznej władz. Wystarczy, że rozruchy ukraińskie stłumią krwawo żołnierze "rosyjscy", a rosyjskie "kozaczy" i już lud ma swojego wroga. Podobnie rzecz się ma w PRL. Propaganda stara się skierować emocje ludu na wrogów zastępczych, odwracając uwagę od wroga prawdziwego.

Reasumując: antyrosyjskość łączy się z niezrozumieniem istoty komunizmu, a co za tym idzie, także i naszej walki. Czas najwyższy pojąć, że nie walczymy z imperializmem rosyjskim, lecz z międzynarodowym komunizmem, że naszymi wrogami są strażnicy więzienia jakim jest komuna.

Próby dialogu zmierzającego do lepszego zrozumienia się i wypracowania płaszczyzny współpracy Polaków i Rosjan były i są na szczęście podejmowane - zarówno na emigracji jak i z tej strony kurtyny. Przykładem niech będzie "Kultura" i "Kontakt", "Kontynent" i "Russka-ja Mysl". W kraju za przykład niech posłuży stanowisko "Solidarności Walczącej", pismo "Obóz", czy postawa Adama Michnika wyrażona w liście w sprawie A.Sacharowa.

Od ułożenia naszych stosunków z Litwinami, Ukraińcami, Białorusinami, Rosjanami i innymi zniewolonymi narodami, w stopniu pozwalającym na współpracę, w dużej mierze zależy nasza przyszłość.

"Komunizm żąda od nas nie tylko tego co cesarskie, ale i tego co boskie. Ja mówię nie. Mam prawo powiedzieć nie" - to słowa A.Sołżenicyna. To słowa wszystkich, przeciwstawiających się zniewoleniu Rosjan. Bądźmy razem z nimi.

Zbyszko Lechita

Z paryskiej perspektywy

Bardzo rzadko chwytam za pióro, o wiele bardziej wolę rozmowę, gdy za oknem paryska plucha a w pokoju przyjemne ciepło i dymiąca herbata. Siadamy sobie wygodnie z kolejną osobą, która przyjechała tutaj na wakacyjny, krótki pobyt i gadamy, gadamy. Oczywiście, bo zdążyłem się już przyzwyczać, zaraz po tematach krajowych pojawiają się żale dotyczące właśnie nas, czyli tak zwanej emigracji solidarnościowej. Żale, trzeba przyznać, tym większe im mniejsze dana osoba posiada rozeznanie w atmosferze społecznej i sytuacji politycznej na Zachodzie. Wcale nie uważam, że najnowsza emigracja polska "sprawdza się", że zrobiła wszystko co w jej mocy, aby pomóc tzw. sprawie polskiej. Jedno jest jednak pewne. Nie jest ona w stanie spełnić roli i zadania, jakie wyznaczają jej niektórzy ludzie w kraju i to z bardzo prostego powodu. Zadania te zostały wymyślone jak piękne baśnie Andersena, bez żadnych realnych podstaw. W większości wypadków nie opierają się one na, chociażby tylko, ogólnej analizie istniejących możliwości a częściej na bardzo niebezpiecznym emigracyjnym micie. Obraz polskiej emigracji przedstawiany mi najczęściej przez rozmówców z kraju wygląda w przybliżeniu tak: banda gnuśnych i pozabawionych jakiegokolwiek inicjatywy nierobów, którzy zaprzepaścili wszelkie szanse polityczne, wydają jakieś tam pismka, których i tak w Polsce nikt nie czyta i myślą tylko o ustawieniu się w nowej zachodniej rzeczywistości. Nie ryzykują niczym, gdy nam w Polsce cały czas grozi więzienie i jeszcze mają czelność nas pouczać. Oczywiście, trochę przesadzam i podaję opinie skrajne, ale czy naprawdę aż tak bardzo?

Emigracja nigdy nie będzie inna niż społeczeństwo, z którego się wywodzi. Nie jest niczym innym jak tylko małym wycinkiem Polski, a. m. t. wspaniałego, heroicznego Polaka możemy sobie kultywować już tylko w literaturze. Nowa emigracja polska jest przykładem na stopień zszowietyzowania naszego społeczeństwa, a zszowietyzowanym można być również wtedy, kiedy nawet do głębi nienawidzi się "czerwonego". Nie czas wymieniać tu negatywne skutki jakie w naturalny sposób wytwarza w społeczeństwie system komunistyczny. Wszyscy wiemy o zabijaniu indywidualności, inicjatywy, o braku poszanowania dla pracy, o podejrzanym stosunku do własności społecznej. Brzmi to jak truizm, ale właśnie tutaj, na Zachodzie, na tle względnie normalnie funkcjonującego społeczeństwa cechy te uwidaczniają się ze zdwojoną siłą. I jeszcze jeden błąd, który popełniają prawie wszyscy Polacy. Mylenie państwa opiekunczego z demokracją, co pociąga za sobą fatalne w skutkach żerowanie na różnego rodzaju zasiłkach i zapomogach z niepodlegającą dyskusji maksymą "mnie się to należy". Mało, że się nie należy, to jeszcze w poważny sposób utrudnia rozpoczęcie normalnej egzystencji w nowych warunkach. Przestałmy wreszcie obnosić się z minami nieszczęśliwych cierpiących na Zachód /Jałta - zawsze dobry argument/ z odczuciem lekkiej pogardy do ich głupoty politycznej, bo my "już jesteśmy doświadczeni i dlatego mądrzy". Nie, my jesteśmy teraz głupi. Tacy głupi nie byliśmy jako społeczeństwo chyba nigdy a zamykanie się z konieczności w polskich gettach i brak nawet chęci zrozumienia, czym charakteryzuje się normalny układ społeczny potwierdza to jeszcze dobitniej. Jeszcze raz powtarzam: emigracja będzie tylko taka, jacy sami jesteśmy w kraju. I to nie tylko ta, zamykająca się w setkach tysięcy, emigracja ekonomiczna, której tak

często los Polski przestał obchodzić z chwilą przekroczenia granicy, ale również ta określona mianem politycznej, w której obecnie na-
prawdę działających osób jest dość niewiele. Można tu jednak za-
dać pytanie: ile faktycznie działających osób pozostało w Polsce z
niemalą dziesięciomilionowego związku? Maszę, że proporcje są zbli-
żone i na emigracji.

Mit Wielkiej Emigracji XIX wieku, który w jakiś sposób ciąży z
polskiego punktu widzenia na emigracji solidarnościowej, nie jest
też rzeczą najszczęśliwszą. Bardzo lubimy analogie historyczne, lecz
niestety nie zawsze są one uzasadnione. Zmieniły się warunki a świat
w świadomości ludzkiej rozrósł się również o inne kontynenty. Wtedy
należeliśmy jeszcze do Europy, czyli centrum świata, byliśmy jej in-
tegralną częścią. Czy teraz oprócz należenia geograficznego, histo-
rycznego i kulturowego, należymy również duchowo? Ludzie, których
stan wojenny zastał na Zachodzie, nawet jeżeli byli działaczami
związkowymi przebywającymi w tym czasie służbowo za granicą, nie sta-
nowili nawet w minimalnym stopniu reprezentacji wybranej pod wzglę-
dem przydatności do działania na emigracji. Była to grupa przypadko-
wa, w większości nie mająca elementarnej wiedzy na temat skompliko-
wanych układów politycznych panujących w wolnym świecie i nie znają-
cych wcale, albo w stopniu wystarczającym języka kraju, w którym się
znaleźli. Grupy solidarnościowców uzyskały opiekę zachodnich związ-
ków zawodowych, łącznie z wynajęciem dla nich lokali, gdzie miały
swoją siedzibę biura "Solidarności". Początkowo patronat ten był
prawdziwym błogosławieństwem, z biegiem czasu zaś i ze spadkiem za-
interesowania Polską stawał się sytuacją krępującą ręce. Biura te
zmuszone były prowadzić w dużym stopniu politykę określonego związ-
ku, ograniczającą w znacznym stopniu pole manewru. W pierwszym okre-
sie biura spełniały rolę głównie informacyjną, gromadziły materiały
dotyczące represji, zbierały napływające wielką falą pieniądze, sta-
rały się organizować transporty do Polski. Inna działalność właści-
wie nie była potrzebna. Rządy zachodnie robiły co mogły bez specjal-
nych nacisków Polonii. Większy wpływ od nowoprzybyłych na opinię za-
chodnią miały głosy osób znanych z poprzednich fal emigracji /emi-
gracja '68/ mających już własną wypracowaną pozycję społeczną i le-
piej orientujących się w subtelnych układach politycznych. Zresztą
oni też stali się doradcami świeżo powstałych komitetów. Okres ten
z obecnego punktu widzenia wpłynął na późniejszą passywność biur "So-
lidarności". Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że zostały o-
ne w jakimś stopniu zdemoralizowane. To one były centrum uwagi, to
do nich pchali się związkowcy i dziennikarze. Z miesiąca na miesiąc
było ich jednak coraz mniej, aż w ostatnim okresie nie ma ich już
wcale. Tego działacze jakoś nie brali pod uwagę, nie nauczyli się
sami wykazywać inicjatywy i szukać nowych sojuszników, będących czę-
sto w stanie zrobić dużo więcej niż np. związki zawodowe. Próbuje
się to robić teraz, lecz jest już o wiele trudniej.

Poza tym na działalności tych środowisk zaważył tzw. kompleks kra-
ju. Przyjęte założenie np. głównej centrali "Solidarności" na Zachodzie
Biura W Brukseli, iż jest ono tylko placówką usługową w stosun-
ku do TKK i może wykonywać tylko jej polecenia, bez prowadzenia włas-
nej polityki, a cała realizacja następuje tylko na płaszczyźnie
związkowej, jest tego najlepszym przykładem. Trzeba sobie zdawać
sprawę, że nieocenione TKK nie zawsze jest najlepszą instytucją do
decydowania o możliwościach działania na terenie, który zna słabo
i nie orientuje się do końca w podskórnych tendencjach samych zachod-
nich związków zawodowych. Kompleks kraju tak bardzo zaciążył na nie-
których grupach solidarnościowych, że przyjęły one bardzo dyskusyjny
sąd, iż działalność polityczna na emigracji jest czymś gorszym niż
działalność w kraju i z założenia ustawiły się w roli prawie żadnego

partnera politycznego. Faktycznie jedynie Biuro brukselskie starało się być tą najważniejszą reprezentacją, lecz i je, jak wspomnieć, cechuje brak inicjatywy. Oczywiście, mówiąc o Biurze w Brukseli nie należy zapominać o jego sukcesach, chociażby reprezentacji "Solidarności" w Międzynarodowej Organizacji Pracy, ale straty poniesione na płaszczyźnie politycznej w pierwszym, tak dogodnym okresie, są już nie do odrobienia. To tu, na Zachodzie, triumfowała ta, z pozoru tak prymitywna, propaganda komunistyczna, która wszczepiła w nas pogardę do emigracji politycznej, przedstawiając ją jako grupę śmieszoną, nie liczącą się z żadnymi realiami, mającą coraz bardziej mgliste pojęcie o potrzebach i życiu kraju. Skutki tego odczuwaliśmy na własnej skórze. Podejmując jakąkolwiek akcję robiło się wszystko, aby nikt nie miał nawet podstaw do oskarżania nas o czerpanie osobistych korzyści. Miało to też swoje negatywne skutki. Podam tylko jeden, choć bardzo wymowny przykład. Pieniądże zebrane przez paryskie Biuro "Solidarności" stanowiły sumę kilku milionów franków. W pierwszym moralnym impulsie postanowiono, że pieniądze te przeznaczone są na kraj i w żadnym wypadku nie można nimi dysponować w innych celach. Żeby nikt nie posądzał nikogo o nieuczciwość, konto to jest pod ścisłą kontrolą francuskich związków zawodowych. Pieniądże te były więc wydawane na pomoc dla represjonowanych, na sprzęt dla podziemnej "Solidarności". Stopniały już jednak tak, że za pół roku, za rok nie zostanie ani franka. Był oczywiście inny sposób wykorzystania tych funduszy, z góry jednak odrzucony przez działaczy jako "nieetyczny". Można było przecież nie oszczędzając pomocy dla kraju, część tej sumy zainwestować w taki sposób, że po kilku latach powiększyła by się na tyle, by móc stworzyć stały kapitał i to wtedy, gdy już nikt nie będzie palił się do wydawania pieniędzy na "Solidarność". Zdecydował jednak strach przed podjęciem ryzyka, które każdy obrót pieniądza, chcąc nie chcąc, stwarza i świadomość możliwości powstawania tyśięcy plotek i pomówień /co i tak ma miejsce/ w kraju. Szansa, z uwagi na kontrolę związków francuskich, już w tym momencie nie do wykorzystania.

Biura na samym początku wojny skupiały setki współpracowników. Z biegiem czasu pozostała mizerna grupka ludzi. I to nie zawsze dlatego, że wygasł skłoniany zapal. Większe znaczenie, według mojego rozeznania, miała sytuacja finansowa potencjalnych działaczy, zmuszająca, czasem nawet bardzo wytrwałych, do rezygnacji z działania i rozpoczęcia pracy zarobkowej. Paryskie Biuro "Solidarności" uzyskało kilka etatów, z tym, że były to pensje najniższe w warunkach francuskich. Z reguły jeden etat dzielony był na dwie osoby, a ilość etatów zmniejszała się z roku na rok. Jeżeli ktoś podejmował pracę zarobkową, a pracuje się tu od 8 do 18 z dwugodzinną przerwą w południe, to jego działalność polityczna spadała automatycznie do zera. Po pewnym czasie pozostała grupa najbardziej zdesperowanych, przymierająca czasami głodem i pracująca po 18 godzin na dobę. Jeszcze gorsza sytuacja istniała w pozostałych inicjatywach, takich jak nowo powstałe pisma czy paryskie Radio "Solidarność". Tam już nie było żadnych etatów i jeżeli w ogóle znalazły się jakieś pieniądze, to szły one w całości na druk nowego numeru czy - jak w przypadku Radia "Solidarność" - na sprzęt techniczny. Ludzie zaangażowani w te prace dzielili czas na malowanie mieszkań, sprzątanie i inne dorywcze prace. Wydaje mi się, że nie można o tym zapominać, szczególnie, że to właśnie do tych nadal działających najwięcej dochodzi w tej chwili głosów niezadowolenia z kraju i to właśnie oni muszą najczęściej się tłumaczyć. Kolejny mit o polskiej emigracji politycznej obсыpywanej, nie wiadomo skąd, stypendiami i różnymi dotacjami jest wyssany z palca. Nikt jakoś nie kwapi się do finansowania ani polskich wydawnictw, ani pism, a o sumach 100 tysięcy dolarów amerykańskich przekazanych

"Zeszytom Literackim" przez prezydenta Reagana można przeczytać tylko w informatkach kulturalnych LWP. Nawet Radio Wolna Europa, finansowane przez Kongres amerykański, od lat nie może się doprosić o nowe nadajniki, choć wszyscy zdają sobie sprawę, że jest ono prawie już nie słyszalne.

Ale jaki jest w takim razie stan obecny? Wiem, że dla niektórych ludzi z Polski zabrzmiałoby to denerwująco, ale uważam, że zrobiono więcej niż powinno się od tych stu, może stu pięćdziesięciu ludzi rozsianych po całej Europie oczekiwać. Może najmniej na płaszczyźnie polityki międzynarodowej, najwięcej w sprawach kultury. Nie stworzono dotychczas żadnego reprezentacyjnego ciała, które by mogło prowadzić działalność ściśle polityczną, oddziaływując na różnego rodzaju partię polityczną na Zachodzie. Rozpoczęta w tej chwili dyskusja na ten temat, wynikająca z bezpośrednich sugestii emigracji, jest ważna, choć spóźniona o trzy lata. Dla powstania takiego ciała i żeby naprawdę mogło czuć się polityczną reprezentacją narodu, mandat z kraju jest konieczny. Może dziwić tylko fakt, że nacisk na stworzenie tej reprezentacji powstaje na emigracji a nie w Polsce.

Niewątpliwie do najważniejszych osiągnięć emigracji należy stworzenie nowych tytułów pism. Chociaż często z perspektywy krajowej liczy się tylko konkretna pomoc w postaci sprzętu i pieniędzy, nie należy tego faktu nie doceniać. Pisma emigracyjne redagowane są również z myślą o czytelniku krajowym i nawet jeżeli trafiają do niego tylko sporadycznie, świadomość kontaktu jest bardzo ważna. Polacy, którzy opuścili kraj w ostatnim okresie, mogą z biegiem czasu, po okrzepnięciu w społeczeństwach zachodnich, mieć duży wpływ na kształtowanie opinii publicznej krajów osiedlenia, stając się zarazem niebagatelną siłą polityczną. Po wyraźnym zmniejszeniu serwisu informacyjnego w zachodnich środkach masowego przekazu, pisma emigracyjne są najważniejszą kopalnią informacji o atmosferze, problemach i rozwoju sytuacji w kraju. Można więc założyć, że oddziaływanie na środowiska emigracyjne jest podstawowym zadaniem tych czasopism. Trzeba cały czas mieć w pamięci rolę, jaką odegrała paryska "Kultura" i to również w Polsce.

Ograniczając się tylko do najważniejszych, nowopowstałych tytułów można wymienić: sztokholmskie "Słowo", zachodniemiecki "Pogląd" i chyba najlepszy, coraz śmielej konkurujący z "Kulturą" paryski "Kontakt". Dochożą do tego pisma o profilu bardziej literackim jak, przede wszystkim, "Zeszyty Literackie", wydawany w Londynie od czasu wojennego "Puls" czy berliński "Archipelag". Gdy dodamy do tego istniejący już wcześniej "Aneks" i oczywiście "Kulturę", lista tytułów już tylko na terenie Europy może naprawdę imponować. Pisma emigracyjne to również możliwość publikacji dla autorów krajowych, to możliwość wyeksponowania ważnych tematów i kontynuacji dyskusji mających miejsce w podziemnych publikacjach w kraju, to ocalenie wartościowej literatury, która nie ma szans na oficjalną publikację w Polsce, to wreszcie możliwość przybliżenia czytelnikowi krajowemu dorobku kulturowego emigracji. Dowodem na to, że twórczość emigracyjna również w kraju traktowana jak integralna część kultury polskiej jest chociażby fakt przedruku w podziemnych wydawnictwach krajowych kolejnych numerów "Zeszytów Literackich".

Polskie czasopisma emigracyjne nie wykorzystają jednak szansy na dotarcie do czytelnika zachodniego. Odsobnioną inicjatywą jest tutaj jedynie "Biuletyn Informacyjny" paryskiego Biura "Solidarności", wydawany w języku francuskim. Tę lukę próbują wypełnić dziennikarze i intelektualiści przybywający z Polski, starając się publikować artykuły na tematy polskie w najpoważniejszej prasie zachodniej.

Nowa emigracja nie stworzyła dotąd żadnego wydawnictwa, ale do istniejących już "Instytutu Literackiego", "Aneksu", "Polonii Book

Fund", "Kontry" czy "Spotkań" wprowadziła wielu młodych ludzi, przyczyniając się tym samym do zwiększenia liczby publikacji tych wydawnictw. Został stworzony Fundusz Kultury Polskiej, w skład którego wchodziły wybitne emigracyjne osobistości, a który do tej pory sfinansował wydanie kilku szczególnie wartościowych książek i ufundował szereg stypendiów dla twórców z kraju, pozbawionych możliwości normalnego zarobkowania.

Wiem jednak, że wszystkie te działania z polskiej perspektywy nie zawsze są należycie oceniane. Wszyscy polscy rozmówcy powtarzają mi uparcie, że dla nich liczy się tylko sprzęt i pieniądze. Żaden jednak z moich rozmówców nie zdaje sobie sprawy na jakie trudności napotyka się próbując "załatwić" i jedno, i drugie, nie mówiąc już o drodze przetrzutu do Polski. Właściwie większość rzeczy uzyskuje ostatecznie działacze opierając się na prywatnych znajomościach. Ile wymaga czasu, ilu wizyt, rozmów i tłumaczeń, aby otrzymać jeden stary offset wiedzą tylko ci, którzy robią to na co dzień. Jeszcze raz powtarzam, że skończyły się już czasy, gdy wielkie instytucje przekazywały duże sumy na walczącą "Solidarność". Przykładem obecnej sytuacji może być anegdotyczna już odpowiedź człowieka interesu, który stwierdził, że opłaca się inwestować w walkę z każdym reżimem, tylko nie z komunistycznym. Są to po prostu stracone pieniądze, gdyż każdy inny reżim kiedyś upada, nie zdarzyło się jednak jeszcze, aby upadł reżim komunistyczny.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której warto by wiedział polski czytelnik. Jeżeli już jakaś osoba prywatna czy instytucja zdecyduje się wysłać "coś" do Polski, to w dziewięciu na dziesięć przypadków, będzie to wysyłka mająca konkretnego adresata. Adresatem tym jest z reguły NSZZ "Solidarność", nie zaś żadne wydawnictwo czy pismo podziemne. Osoba przekazująca dar wymaga pisemnego potwierdzenia od podziemnych struktur "Solidarności". Nie jest zaś winą emigracji nie zawsze prawidłowe ich funkcjonowanie. Dlatego też żale podziemnych wydawnictw są tak często uzasadnione, lecz naprawdę nie ma w tym złej woli emigracyjnych działaczy. Podziemne wydawnictwa powinny na własną rękę wchodzić w porozumienia z zachodnimi centralami wydawniczymi prosząc je o opiekę i wskazywać konkretnych ludzi na emigracji, którzy są w stanie tę opiekę "zrealizować". Zbyt łatwo odmawia się działaczom emigracyjnym, dużo trudniej zaś zwracającym się bezpośrednio polskiemu podziemnym wydawnictwom. Z tego też powodu bardzo ważne są wszelkie porozumienia podpisywane właśnie teraz przez podziemne regionalne struktury "Solidarności" z centralami zachodnich związków zawodowych. Każda inicjatywa wychodząca z kraju oprócz bezprzeznaczonych korzyści materialnych jest niebagatelnym elementem propagandowym, uoczniającym żywotność polskiego podziemia.

Moja paryska perspektywa jest jednak bardzo ograniczona. Niknie we głębi oceanu kontynent amerykański, a i Europę pewnie widzę jak Paryż z mojego okna - szary mur, połowa drzewa i jeden zaparkowany samochód.

Piotr Res

Głos zwyczajowca na temat Polskiej Reprezentacji Politycznej

Jak widzę propozycję Krzysztofa Jerzewskiego sugerującego konieczność powołania Polskiej Reprezentacji Politycznej? Otóż owo ciało, zwane przez autora PRP, dla spełnienia przypisywanych mu celów, musi wkomponować się w określoną przestrzeń polityczną, a w tej uznawana jest podmiotowość komunistycznego rządu PRL. Dla nas jest to rząd obcy i narzucony nam jako konsekwencja, mówiąc skrótowo, Jałty. Dla tamtych - nasz rodzimy polski, efekt "procesu dziejowego", a co najważniejsze, jeden z kamieni europejskiego domina, którego lepiej dla świętego spokoju nie ruszać; Uznanie rządu PRL przez Zachód wyklucza więc akceptację jakiegokolwiek innej polskiej reprezentacji, przynajmniej w świetle dotychczasowego konwensu polityczno-dyplomatycznego.

Docierają do nas z Zachodu sygnały, że Sierpień oraz pojawienie się w PRL podmiotu społecznego, niezależnego od komunistów, zmieniło w jakimś stopniu zachodnie opcje polityczne. Udowodniono opinii światowej, że rząd komunistyczny nie jest narzędziem moskiewskim, które spacyfikowało polskie body politic, a więc że społeczeństwo potencjalnie jest w stanie, w dowolnym momencie, wyłonić rząd rzeczywiste reprezentujący jego polityczną wolę. Póki co, sytuacja formalnie nie uległa jednak zmianie, a rząd komunistyczny nadal reprezentuje nas na międzynarodowym forum.

Wracając do idei powołania rzeczywistej polskiej reprezentacji politycznej... Czy Europa Zachodnie jest w obecnym momencie skłonna uznać realia dwupodmiotowości PRL i wyrazić gotowość rozmów zarówno z przedstawicielami rządu komunistycznego, jak i polskiej body politic? Jeżeli odpowiedź na to pytanie brzmi: tak - należy powołać PRP, aby kontakty te ułatwić. Jeżeli jednak nie jesteśmy w stanie dać odpowiedzi twierdzącej, co znaczy, że Zachód takiej gotowości nie wyraża - wówczas powoływanie PRP jest nonsensem. Z PRP nikt nie będzie rozmawiał i co najwyżej wejdzie ona do muzeum osobliwości życia politycznego wolnego świata.

Patrząc z krajowej perspektywy raczej wątpię, by Zachód optował w kierunku oficjalnych, a tym samym zobowiązujących kontaktów z czymś takim jak PRP. Pozostałaby sfera kontaktów nieoficjalnych. Istniejąca na Zachodzie reprezentacja NSZZ "Solidarność", a także kontakty polskiego Episkopatu są tutaj wystarczające, co i dla komunistów jest klarowne. Stąd każda próba rozmów, porozumień, spotkań spotyka się z tak gorącym potępieniem Urbana.

Przy takim rozpoznaniu sytuacji politycznej uważam, że nie istnieje potrzeba powoływania Polskiej Reprezentacji Politycznej. Skąd więc biorą się głosy sugerujące taką konieczność? Płyną podobno z Zachodu, ale - pamiętajmy - z ośrodków naszej emigracji. Sądzę, iż dla jej animatorów idea ta być miała czymś na kształt deski ratunkowej. Nie jest jednak tajemnicą, że "Solidarnościowa" emigracja /czyli polityczna/ jest skłócona i rozbita. Pomysł zrodził się prawdopodobnie z chęci znalezienia jakiegoś autorytetu, który miałby moc jednoczącą, scalającą i zmuszającą do roboty na rzecz Samorządnej Rzeczypospolitej. Nie ma jednak żadnych gwarancji, by PRP funkcję taką mogła spełnić.

Istniejące Biuro "Solidarności" w Brukseli oraz jego filie w innych krajach są dostatecznie czytelnym podmiotem politycznym. I tę

skne wdychania do nowej nad-organizacji jest typowym objawem czekania na cud. Dowodem tego, iż Milewski i jego biuro wystarczają jako podmiot jest choćby sprawa MOP-u. Milewski-związkowiec ma prawo dyskutowania i spotykania się z każdym, czego przykładem ostatnie spotkanie z Olofem Palme. Nie wolno zapominać, że również na Zachodzie manipuluje się związkami; raz wciąga się je do "wielkiej polityki", a innym razem czyni się im z powodu "nadmiernej polityczności" wyrzuty.

Wiele mówi się o słabości sprzężenia Mileski - TKK, co podobno wpływa na niemoc emigracyjną. Ponoć TKK nie dostarcza wystarczającej ilości danych, planów, pomysłów oraz zachęt. Sądzę, że i w tym zakresie wiele mogłoby się zmienić, gdyby z Brukseli płynęły do TKK wyczerpujące oceny i analizy sytuacji politycznej. Do tego jednak sam Milewski nie wystarczy. Winno pracować na niego wielu, a podobno ich brakuje. Trudno w to uwierzyć. Raczej jestem skłonny przypuszczać, że każdy chce być "Milewskim", a nie pracować "na niego". Efekty współpracy są takie jak w definicji Chmielowskiego "koś jaki jest każdy widzi".

Na rozwiązanie niemocy emigracyjnej istnieje przecież sposób. Mamy wszak prasę związkową na Zachodzie. Mamy także w kraju. Piszmy o tych kontr-Milewskich. Piszmy o tym, co myślą, co mówią, co robią... Oby tylko nie wyszło, że nic nie robią, poza rozdzieraniem szat nad niemocą, oczywiście, Milewskiego.

Problem PRP nie zrodził się z niczego. To fragment szerszego zagadnienia - jakiejś nieposkromionej chęci, by tworzyć ciągle nowe, nowe i nowe. Zamiast budowania, wzmacniania, czy ewolucji tego co jest, co się już sprawdziło i uwiarygodniło. Podobne tendencje, choć słabsze, można i w kraju zaobserwować. Także pojawiają się wołania o partię, o kadrowkę. Krytykuje się Związek głównie za brak ambicji politycznych, za "ugodowość" zapominając, że jest on dokładnym odbiciem możliwości politycznych społeczeństwa a nad zmianą tej sytuacji trzeba dłużej i rzetelnie popracować.

Dla myślących politycznie działaczy Związku przesłanki są następujące: 150 partii politycznych już zaliczyliśmy - skończyło się majowym zamachem Piłsudskiego. "Zawodowi rewolucjoniści" ozy "awangarda" siedzą nam aktualnie na karkach. Tą drogą nikt uczciwie myślący nie pójdzie.

Pozostaje przecieranie nowych szlaków - znalezienie klusza na budy politic w sytuacji wyzwania się z pęt kominizmu, a patrząc dalej na społeczeństwo postkomunistyczne.

PRP jest być może jakimś pomysłem, ale traci myszką i o najważniejsze słabo przystaje do aktualnych realiów zarówno kraju jak i emigracji.

Związkowiec

Tumany i fetysze

Wypadło mi napisać felieton i pomieścić w miejscu, gdzie w poprzednim numerze był Kisiel. Serdecznie ta tę profanację miejsca Czytelników przepraszam, ale ostatecznie Kisielą nie zdjęli i znajomy cenzor niczego nam nie podrzucił. Trzeba więc samemu...

Chciałbym o postawach - Kisiel pisał w "TP" o typach - nie mogę go naśladować całkowicie, choć i ja mam swoje typy. Jedna "postawa" szczególnie mnie drażni oraz niepokoi. Otóż, wielu moich znajomych co jakiś czas zgłasza pretensje: po co się o tym pisze w niezależnych gazetkach i pismach - przecież to woda na młyn czerwonej propagandy. Oczywiście, chodzi o takie konfabulacje dziennikarskie, gdzie się "coś" z bazy czy nadbudowy związkowej krytykuje. Wtenczas to żarliwi obrońcy spraw "Solidarności" zakamują ręce i drżą, bo rzecznik może to odczytać w TV.

Chwała Bogu, że w tytule mamy napisane, iż jesteśmy pismem członków i sympatyków "Solidarności". Nikt mi nie może więc zarzucić, że jestem anty. Ja w duchu troski i rozwagi, by nasz sprowadzony w podziemie Ruch rozwijał się w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, by się ulepszał, poprawiał oraz wyzywał błędów, na ogół płynących z tego, że "wszyscy jesteśmy dziećmi tego systemu" - jak powiedział ongiś Rakowski.

I tak to zafascynowane męczeńską aureolą "Solidarności" "dzieci tego systemu" pragną uczynić z Tejże jeszcze jedną instancję o komunistycznym kośćcu. Gdzież to bowiem i kiedy zakazano wszelkiej krytyki, obwarowując to demagogiczną kazuistyką, iż wróg imperialistyczny czyha, by nasze błędy wykorzystał! Wymyślono szereg instancji i instytucji, które strzegą pryncypialnych zasad. Czterdzieści lat temu i dzisiaj trzeba szczerze i po partyjnemu dowodzić, że w PRL wszystko jest doskonałe. No... jedynie ekstrema inspirowana przez wrogie Polsce ośrodki rewizjonistyczne, imperialistyczne i cyklistyczne ten wspaniały ład zakłóca.

Podobnież "Solidarnościowego" ładu i naszej nad-wspaniałości nie będziemy zakłócać... bo czerwony wykorzysta.

A niechże sobie wykorzysta! Cóż nas obchodzi kolejna opowiadka rzecznika rządu, że panienki z podziemia piją whisky i mają niepodarte rajstopy, podczas gdy kandydatki do PZPR chodzą w onucach. Bóg z nimi. Rzecznik takie fakty sam wymyśli, niezależnie od tego, czy mu ich dostarczymy, czy nie.

Natomiast my, członkowie i sympatycy raczej nie wyzbywajmy się tej odrobiny krytycyzmu i zdrowego rozsądku - jeśli nam się jeszcze gdzieś resztki tego deficytowego towaru uchowały. Jeżeli zaś nie, to - drogie "dzieci tego systemu" stawiajmy sobie kapliczki i patrzajmy sobie głęboko w oczęta wzdychajmy do własnej doskonałości, nieomylności, wspaniałości... Wprowadzajmy siebie do wspaniałego świata legend i baśni, a resztę zrobi za nas czerwona propaganda.

Konrad Struga

Cena z wkładką 250 zł